MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 8 WARSZAWA, 21 LUTEGO 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

# WIEŚ RADZI W STOLICY

W UBIEGŁĄ niedzielę (14 b. m.) odbył się w Warszawie bardzo liczny zjazd działaczy wiejskich, zorganizowanych w Stronnictwie Narodowem. Było tych delegatów około tysiąca. Wpadł z nimi do Warszawy powiew energii społecznej i, jeśli nie optymizmu, to zaradnej myśli o tem, co należy robić na przyszłość dla dobra narodu. Uczestnikami zjazdu byli przeważnie ludzie młodzi, reprezentujący obecne pokolenie gospodarzy wsi polskiej.

Zasadniczą cechą atmosfery tego zjazdu była myśl przewodnia narodowa, nie klasowa. Dopiero na tego rodzaju zebraniach można sobie jasno uświadomić, jak zbawienny wpływ na życie kraju wywiera działalność stronnictwa, które potrafiło wypracować program polityczny własny bez pomocy masonerii i żydów. Chłopi znaleźli w stronnictwie Nnrodowem możność nawiązania do tego programu swoich najżywotniejszych instynktów społecznych, tych instynktów, z których naród polski czerpał zawsze swoją siłę dziejotwórczą.

Reprezentowany był na zjeździe chłop polski autentyczny, nie zmanierowany w szkole tej propagandy, która ma na celu wycofanie ludu z życia narodowego przez skierowanie go na tory walki klasowej. Chłop polski nie da się zamknąć w opłotkach sprawy agrarnej, jako kategoria proletariacka, która nie widzi przed sobą innych zadań, jak tylko walkę z większą własnością ziemską. Chłop dostrzegł w tem podstępny manewr, polegający na odwracaniu uwagi jego, jako obywatela, od życia całości i od sprawy miast, które dzisiaj są wrzodami na ciele Polski.

Społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy, jak jest zahipnotyzowane poddawanemi mu stale przez propagandę masońską hasłami reformy strukturalnaj, coraz radykalniejszej w znaczeniu socjalnem, ale zawsze wymijającej największą wadę struktury, mianowicie brak miast p o l s k i c h w przeważnej części kraju. Rola miast w społeczeństwie nowożytnem decyduje o jego rozwoju. Polska nie wybrnie z nędzy, póki się nie uwolni z pod jarzma żydów, którzy się w miastach ufortyfikowali.

Polska myśl, przez lud już dzisiaj uświadomiona, stanęła przed nowym etapem walki o niepodległość. Dopiero w tej czystej atmosferze troski o Polskę, w atmosferze szczerego porozumienia sfer górnych społeczeństwa z ludem, występuje w całej rozciągłości i dramatyczności zagadnienie, które nowe pokolenia mają rozwiązać.

Chłop polski ma jedno do powiedzenia frontowi ludowemu, który tę pracę Polsce chce udaremnić: — Nie licytujcie się z nami na rewolucją i reformę, bo to, co życie samo dokona przy naszej pomocy, będzie reformą gruntowniejszą, zapewniającą niepodległość Polsce. Nie pomogą wam bolszewicy których mobilizujecie przeciwko Polsce narodowej.

Zjazd warszawski wypowiedział się jasno. Zaświadczył, że wieś ma całkowitą świmdomość i drogi postępowania i tej zmowy z żydami na Polskę, wciągającej w swe sidła ludzi nieuświadomionych. Wieś jest świadoma i na ciężkiem dla serca polskiego doświadczeniu tę świadomość oparła, że Polska wkroczyła w okres walki o swoje prawa do bytu niezawisłego. Że w tej walce przedewszystkiem o wieś propaganda zabiega, mieliśmy dowód w niedawnym kongresie stronnictwa ludo-

wego, gdzie nie było wolno słowa wypowiedzieć o zagadnieniu żydowskiem. To nie był chłop autentyczny.

Wieś polska nie po bolszewicku myśli, myśli o tem, dla czego ma tamowaną drogę do wnętrza społeczeństwa i do wyższych jego kondygnacji, dla czego ma być wiecznie pognojem proletariackim w miastach i miasteczkach swoich lub obcych za oceanem, o ile go tam wywiozą jako żywy towar, dla czego zamknięte dla niego rzemiosło i handel, dla czego nawet do szkół ma utrudniony dostęp. I poczuwa się do sił, aby odpowiednio przerobić Polskę na państwo narodowe nie tylko z formy, ale z ciała i z duszy. Oto jego reforma ustrojowa.

W tym duchu zapadły uchwały na zjeździe, będące deklaracją ideową młodego pokolenia wsi i całego społeczeństwa polskiego.

Patrzymy na stopniowy rozwój tej ideołogji narodowej od lat pięćdziesięciu, od tej pamiętnej daty, kiedy pierwsze popowstaniowe pokolenie inteligencji w „Głosie" warszawskim wyczuło w sposób twórczy głęboki, z ludu udzielający się prąd odrodzenia i na nim oparło program pracy realnej nad wyzwoleniem narodu. Było to przeczucie czasów, które nadchodziły, jako akt wiary weszło ono do programu przyszłego stronnictwa w r. 1897.

W r. 1905 zdumionym oczom Warszawy ukazał się nieznany dotąd widok wielkiego zjazdu chłopskiego. Była to demonstracja; w postaci ludu Siermiężnego ukazało się demokracji z międzynarodówki widmo Polski nacjonalistycznej, tej która wkrótce zgłosi swe prawa do zjednoczenia i niepodległości.

Teraz patrzymy już nie na demonstrację; widzimy lud w pracy politycznej, poczuwający się do ciężkich obowiązków publicznych i zdolny, jak widzimy, do ofiar.

Którzy szukacie wzorów po świecie dla „rozbudowy" Polski, którzy drogę dziejową zgadujecie i zakładacie biura w celu wynalezienia myśli polskiej, idźcie po naukę do zdrowego poczucia i rozsądku ludu polskiego.

W.

# POSZLI NASI W BÓJ BEZ BRONI...

Celniejsze umysły w młodem pokoleniu odczuwają żywo, że od pomysłów reformistycznych pilniejszą potrzebą jest urobienie najpierw charakteru narodowego. Świadectwo żywotności tej pracy umysłowej nad świadomością dziejową narodu widzieć należy w ścieraniu się poglądów na zakres widnokręgów tej świadomości. W odpowiedzi na poglądy idealistyczne (misyjności) zabiera tutaj głos przedstwiciel realizmu politycznego. Nie trudno spostrzec, że nie jest to spór, któryby oddalał ludzi; wszystko zmierza do pięknej syntezy która ich pogodzi. *Red.*

NIC tak dosadnie nie charakteryzuje pewnych romantyczno-szlacheckich skłonności politycznych części inteligencji polskiej, jak ta pieśń powstańców 63-go roku:

... Poszli nasi w bój bez broni...
Ucha!
Krew gra!
Duch gra!
Niechaj Polska zna,
Jakich synów ma!

Podobną myśl wypowiedział Kochanowski. „Zwycięstwo liczby nie chce, męstwa potrzebuje". Ale że na wojnie i broń nie jest bez znaczenia, to rozumieli nawet ci, co byli przekonani, że „wszystko przez ducha i dla ducha, a nic dla cielesnego celu nie istnieje". Mickiewicz modlił się: „o broń i orły narodowe prosimy Cię Panie", a Słowacki pisał:

...„Ludzie, schyleni w nędzach i niedolach
Cierniowemi się kłaniają korony, —
Biegną, a szyki ujrzawszy podróżne
O miecze proszą tak, jak o jałmużnę"...

Dzisiaj ta, skądinąd wzruszająca piosenka powstańcza, z refrenem u-cha! i melodią, obliczoną na akompaniament echa leśnego, nie przekonywa nas pod jednym względem. Nie sztuka wyjść w pole bez broni i wspaniale zginąć. Większą sztuką jest wystawić armię potężną, dobrze wyekwipowaną i uzbrojoną i zaskoczyć swego wroga — bodaj śpiącego w koszarach. Bywają tragiczne opresje, w których trzeba bić się do ostatniego żywego człowieka, bez nadziei zwycięstwa. W takich wypadkach straceńcom należy się pomnik, a ich wodzom — kula w łeb. Jeżeli trzeba wystąpić zbrojnie, robi się wszystko aby niedostatkiem warunków i sił materialnych nie nadwyrężać ducha w wojsku. Kto odbywał przynajmniej czynną służbę, ten wie, że zdolność bojowa wyćwiczonego i karnego żołnierza zależy przede wszystkim od jego sił fizycznych, całych butów, dostatecznie ciepłej bielizny, porządnego umundurowania, dobrej broni i zapasu amunicji.

Nie znaczy to, żeby w nowoczesnej armii lekceważono użyteczność bojową instynktu narodowego i wierzeń religijnych. Tylko do tych spraw są bardziej subtelne metody, niż, dajmy na to, deklamowanie przed bitwą o świętości obowiązku żołnierskiego. Przysposobienie wojskowe jest zadaniem całej kultury społecznej, jest sprawą wszelkich, zwłaszcza wychowawczych i ogólno-kształcących zakładów naukowych. Na wojnie armia korzysta z owoców tego wychowania. Dowództwo otrzymuje do dyspozycji dobry moralnie materiał ludzki. Tego materiału, tych „żywych sił" używa do celów specyficznie wojennych, osiąganych przez wykonywanie konkretnych zadań metodami wypraktykowanymi i racjonalnymi. Sztab główny realizuje chwałę Bożą przez rozbicie wojsk wroga

szeregowiec przez pielęgnowanie broni i celne strzały do swojego przeciwnika.

W wojsku przełożony wsadzi do aresztu żołnierza, który by za dużo się modlił, a za mało czyścił karabin. Podobnie w życiu cywilnem — dobry ksiądz potępi człowieka, któryby przesiadywał w kościele, zamiast zarabiać na chleb dla swych dzieci. Zwiększajmy chwałę Boską przez wykonywanie obowiązków w kolejności i hierarchii, ustalonej przez Kościół Katolicki. W wielkiej, tak w czasie, jak i przestrzeni, rodzinie narodu — musimy mieć przed oczyma nietylko najmłodsze, żyjące pokolenie, ale i dalszą przyszłość Polski. Na rezygnację z dóbr doczesnych można pozwolić sobie jedynie na własny rachunek. Może to robić ten, kto niema żony, dzieci, ani dalszych krewnych. Ale pojęcie „własnego rachunku" też nie jest takie proste, zwłaszcza dla tego, kto uznaje obowiązki społeczne, tym bardziej dla nacjonalisty. Wreszcie — co innego korzystanie z dóbr doczesnych, aż do sybarytyzmu i siedmiu grzechów głównych włącznie, a co innego wytwarzanie tych dóbr dla innych, albo wprost walka z zabójczą nędzą obecnych i przyszłych pokoleń rodaków. Ja się mogę nie troszczyć o to, co sam będę jadł i pił. Ale muszę się troszczyć o to, co będą jedli i pili bezrobotni w Warszawie i Łodzi, chłopi na Polesiu, Podkarpaciu czy w Świętokrzyskiem i synowie tych, których krew wsiąka w cuchnące żydostwem błoto miasteczek. Chrystus zwrócił uwagę Marcie, że troszczy się zbytnio o rzeczy doczesne, lecz nie było to w domu nędzarza — i dla Niego to właśnie Marta przygotowywała posiłek. Atoli, gdy rzesze były głodne, rzekł apostołom: „żal mi ludu; dajcie wy im jeść".

W obecnych warunkach w Polsce nader wzniośle brzmią ogólne stwierdzenia — że celem naszym nie jest krzątanie się przyziemne à la biblijna Marta, ani nawet wielkość narodu, jeno coś niepomiernie wyższego, mianowicie realizowanie chwały Bożej, pełnienie posłannictwa. Rzecz charakterystyczna, że nikt z tych „mesjanistów" nie pokusił się o wyjaśnienie, jaki sens polityczny kryją takie sformułowania. Co mamy robić, aby ten „najwyższy cel" zbiorowości realizować? Czy do tego wystarczy dać cherlać społeczeństwu w biedzie i nie troszczyć się o doczesną wielkość narodu? A jeśli nie, to co jeszcze należy czynić? Jakie realne środki, jakie konkretne czynności wiodą do tego celu?

Co to jest posłannictwo narodu?

Posłannictwo, albo misja, znaczy, że ktoś kogoś posyła, aby wykonał zgóry określone polecenie. Mamy tu na myśli zwykle sens, ustalony przez Stary Testament i całą naukę Kościoła Katolickiego. Mówiąc o posłannictwie narodu nie myślimy o jakiejś analogji do Mojżesza, Jana Chrzciciela, czy Chrystusa Pana. Działa tutaj raczej niewygasłe źródło poezji romantycznej, głównie zaś utwory wieszczów.

Krasiński, najbardziej katolicki z całej trójcy romantyków, nie miał tego geniuszu poetyckiego, co Mickiewicz i Słowacki. Kto wie, czy nie ten właśnie brak zdolności do poetyckich, półprzytomnych uniesień, wyrobił w nim większą trzeźwość i przenikliwość pojęć, zmusił go do gruntowniejszych studiów nad stosunkami społecznymi w Europie. „Nieboska Komedia" jest dowodem, jak przewidująco określał rolę Żydów w państwach chrześcijańskich.

Mickiewicza i Słowackiego geniusz ponosił wyżej na szczyty syntez dziejowych i niejako religijnego dociekania praprzyczyn. Ale w mistycznych stanach natchnień w wędrówkach emigracyjnych tracili czasem z oczu żywe pokolenie narodu. Ich zbyt abstrakcyjno-pryncypialne pomysły, ich transpozycje biblijne na gruncie politycznym — oddalały się nieraz znacznie od konkretnych warunków i zadań narodowego bytu. Stąd Mickiewicz, pod koniec życia w deklaracji „Legionu Włoskiego" w § 10 zapewnia „Izraelowi, bratu starszemu, uszanowanie, braterstwo, pomoc na drodze ku jego dobru wiecznemu i doczesnemu. Równe we wszystkiem prawo"...

A trzeźwiejszy w okresie „Kordiana" i „Lilli Wenedy" oraz „Grobu Agamemnona" Słowacki, jakkolwiek w „Złotej Czasce" przedstawia zdradziecką rolę Żydów i jakkolwiek jego gen. Kreczetnikow (w „Ks. Marku") mówi: „tak się przez Żydów każde miasto bierze" — to jednak w tymże dramacie słowami ks. Marka do Judyty powiada:

Wracaj Izraelitanko
I bądź o ducha spokojna.
Nie długo będziesz wygnanką.
Na to się toczy ta wojna...
...Aby silne duchy Boże
Miały na ziemi Ojczyznę..."

Wiadomo, że wieszcz Adam misję narodu formułował: „Polska Chrystusem narodów", a wieszcz Juljusz „rycerz tej napowietrznej walki, jaka się o narodowość polską toczy", wysuwał swoje hasło: „Polska Winkelridem narodów". Gdy zaś Krasiński w „Psalmie żalu" twardo a krwawo wyrąbał krajowi przestrogę przed rewolucją chłopską, Słowacki przeciwstawia mu w pięknym wierszu bałamutną frazeologię, pozbawioną treści politycznej: „...I z Chrystusem się spotkamy, a spotkania plac — powietrze"...

Z tego potrącenia o mesjanizmy romantyczne z zaakcentowaniem ich stanowiska w jednej tylko sprawie — żydowskiej — dość chyba jasno widać, jak wysoko zawisły one w powietrzu, jak w istocie były to koncepcje nierealne, niby nad wyraz uduchownione, ale za mało ucieleśnione, więc nie żywe, nie oparte na historii i odczuciu biologicznego i kulturalnego życia całego narodu.

Dziś, w powodzi mętnych frazesów da się zgrubsza wyłowić trzy główne odpowiedzi na pytanie co to jest misja narodu? 1). Naród posiada pewną misję — to znaczy, że z racji swego charakteru, kultury, położenia geograficznego i politycznego — ma celem osiągnięcia największych korzyści zachować się właśnie tak, a nie inaczej. Innymi słowy chodzi o to, co już niejednokrotnie powtarzał Dmowski (piętnujący ostro w „Myślach nowoczesnego Polaka" cierpiętniczy i beztwórczy romantyzm polityczny) — że w danym momencie jedna tylko w głównych liniach może być polityka narodowa. Takie postawienie sprawy nie nasuwa żadnych wątpliwości. Ale też wyraz „misja" byłby tu nie na miejscu, tracąc swój istotny sens „posłania". 2). Misja narodu — to jego jakaś wielka, na całe wieki zamierzona rola, której wszystko inne ma być podporządkowane, ażeby w ten spo-

sób urzeczywistniać Boski plan świata (sens romantyczny). 3). Misja narodu — to środek agitacyjny, demagogia w wielkim stylu, frazes patetyczny, a nie sprecyzowany nigdy dokładnie, narzędzie kuglarzy do celów grubo mniej wzniosłych i bardziej ziemskich.

I nie brak wciąż w Polsce ludzi, których można naciągać właśnie na takie mity, nie dające się ani uzasadnić naukowo, ani przeprowadzić praktycznie.

Anglicy chodzą w aureoli cyfr i wykresów, ilustrujących ich dochody z tranzytu i przemysłu. Niemcy swój program państwowy przyozdabiają łodziami podwodnymi, samolotami i armatami. Rosja opiera swą potęgę na Magnitogorsku i Dnieprostaju, na agencjach szpiegowskich i rewolucyjnych, na czołgach i złocie. U nas wciąż jeszcze nie brak ludzi, którzy się wstydzą być poprostu narodem, którzy uważają za egoizm dążenie do wielkości Polski. Przyozdabiają swe głowy w pawie pióra a swe programy w podniosłą fantasmagorię. Czyżby nie rozumieli, że aby wychować płodny, zdrowy i tęgi fizycznie naród, żeby stworzyć potężną armię, ażeby zdobyć trwałe podstawy bogactw gospodarczych — nie wystarczy do tego kombinacja szwindlów handlowych i nikczemność politykierów, czym my słusznie gardzimy, ale raczej trzeba tu wykazać wysoką kulturę, polegającą na sile moralnej. Trzeba mieć mocne nerwy, praktyczny oraz ścisły i lotny umysł, charakter, wynalazczość i poświęcenie, umiejętność celowego działania w zgranej grupie społecznej.

Być może, że Bóg ma jakąś koncepcję, wedle której powinny rozwijać się społeczne grupy ludzkości. Ale skąd i co my o tem wiemy? Jaka to ma być koncepcja? Jak rozdzielone są role narodów? Jaka funkcja nam obecnie przypada? Oto zagadnienia, których dziś jeszcze ludzie nie są w stanie rozwiązać.

Nawet *ex post* trudno coś pewnego powiedzieć o misjach narodów, Historycy nie zajmują się temi zagadnieniami. Z przebiegu owych, nie zawsze zresztą bezspornie ustalonych faktów, o których nam mówi historia, nie udało się dotychczas wyciągnąć żadnych pewnych wniosków co do posłannictwa. Bo fakty t. zw. historyczne i wszelkie wogóle wydarzenia społeczne mają to do siebie, że można je rozmaicie tłumaczyć. Gdyby zaś spodobało się komu oświadczyć, że skoro mowa o misji, to historia go nic nie obchodzi, bo o ile wiemy, przeszłość nie determinuje przyszłości w jakikolwiek ścisły sposób — to trzebaby mu odpowiedzieć: być może, ale gdzież wobec tego są racjonalne podstawy do sądzenia o przyszłości? Ktoś wreszcie mógłby powiedzieć, że otrzymał objawienie, że słyszy głos wewnętrzny. Bóg z nim. Ale jeśli tego głosu ma słuchać cały naród — to sprawa staje się poważna i godna racjonalnego zbadania, czy to nie jest obłąkanie, lub szarlatańtwo.

Zagadnienie wydaje się wprost nierozwiązalne na gruncie zdrowego rozumu i politycznego działania. Zwłaszcza, jeśliby to miała być jakaś rola Polski wśród narodów świata, to trzebaby poznać role wszystkich narodów, z którymi będziemy utrzymywali stosunki i dopiero wśród tych korelacyj ujrzeć w pełni swoje zdanie. Ale teraz proszę sobie wyobrazić metodę takiego badania! Czy przeto poznanie tej sprawy jest stanowczo wykluczone? Nie. W oględnym języku naukowym nie wypada mówić o „stanowczem wykluczeniu". Wydaje się jednak, że jest to możliwe chyba wtenczas, gdy warsztatem pracy jest wszechświat, materiałem — skończczone dzieje ludzkości, metodą wszechwiedza, a badaczem — Bóg.

Inna rzecz, że działacz organizacyjny, tak, jak publicysta polityczny, musi być jednocześnie potrosze nauczycielem, żołnierzem, katechetą, ekonomistą, filozofem i t. d., bo wpływa na całe kulturalne życie społeczne. Nie biorąc pod uwagę indywidualnych zainteresowań i skłonności, lecz całe pokolenie przywódców ruchu politycznego, musimy stwierdzić, że to, jakie elementy kultury przeważają w ich pojęciach i programach zależeć winno od potrzeb narodu w tym okresie. Dziś na czoło zagadnień w Polsce wybija się sprawa wyżywienia mas i zagadnienie żydowskie, w którem znowu na pierwsze miejsce wysunęła się strona gospodarcza.

Dla tego wiadomo, o co dziś przedewszystkiem walczymy z Żydami, my, którym, jako cel główny w polityce przyświeca wielkość Polski. O beczkę śledzi na rynku w Psiej Wólce. O stragan w Odrzywole. O sklepik w Jędrzejowie. O hurtownie w Wilnie i o wille w Otwocku. O konkretne, ściśle określone i dobrze prosperujące fabryki w Łodzi. O węgiel kamienny, huty żelaza i szkła, o drzewo, zboże, kartofle i naftę. O warsztaty rzemieślnicze, o placówki dla doktorów, kupców, adwokatów, inżynierów, nauczycieli. O kamienice, kina, teatry, cyrki, restauracje, dancingi i samochody.

W walce naszej dbamy o tę energię i dyscyplinę moralną, jaka jest potrzebna, aby w czynnościach doczesnych realizowała się chwała Boża. Nie jest to więc ani jakiś materializm narodowy, ani zgoła niska konkurencja. Pod tymi, być może, pozorami, kryje się najwznioślejszy, najświętszy bój — o prosty biologiczny i duchowy byt narodu. Byt, życie — jest niemożliwe bez zaspokajania naturalnych i kulturalnych potrzeb. Te potrzeby zaspokaja się środkami gospodarczymi, wychowawczymi i policyjnymi. Te zaś środki zdobywa się w produkcji i uporządkowanym życiu społecznym, w organizacji państwowej, w sądach i kościołach, w uniwersytetach i politechnikach, w bibliotekach i instytutach, w koszarach wojskowych i agenturach wywiadu, w galeriach sztuki i na koncertach.

Tak samo w istocie, jak twórcy nowoczesnej myśli narodowej w Polsce, rozumie te sprawy „wyrobnik, chłop, dziewka bosa".

Rośnie naród walczący.

TADEUSZ DWORAK

# CELOWOŚĆ ISTNIENIA CZŁOWIEKA

Stanisław Majewski w wydanej świeżo książce p. t. „Z tajemnic bytu. Materializm wobec nauki" zbiera w całość zdobycze nauki, głównie fizyki i astronomji, jakie osiągnięto w ostatnich dziesiątkach lat zwłaszcza w dziedzinie wyjaśnienia budowy materji i wszechświata, wyciąga wnioski, jakie się stąd nasuwają o zwrocie nauki od materializmu. Z książki tej podajemy rozdział, traktujący o stwierdzonej niezmiernej rzadkości światów zamieszkałych w wszechświecie i bliskiej stąd do wysnucia celowości istnienia rodu ludzkiego. *Red.*

ROZPATRYWALIŚMY poprzednio kilka czynników, charakteryzujących zarówno wszechświat, jak grających również w życiu człowieka pierwszorzędną, a nawet nieodzowną rolę — rolę, decydującą o możności jego istnienia. Były to: sam przestwór, jego temperatura, mnogość gwiazd-słońc, szybkość ruchu różnych ciał niebieskich — wreszcie „działalność" *(atom of action)*, rozpoczynająca się w mikrokosmosie, którą matematyka, na tle teorji kwantów, nazwała literą „h".

Atom działania pozwoliliśmy sobie nawet cyfrowo porównać z najwyższym rozkwitem działalności, jaką reprezentuje sam w całkowitej swej przeogromnej wielkości wszechświat, będący wszędzie ruchem; — dojrzeliśmy nawet, mniej więcej, w pośrodku tak kolosalnego rozwoju martwej materialnej działalności i stanowisko ludzkości, jakie prof. Eddington nazwał wykwitem wszechświata zapewne dlatego, że człowiek (a więc i ludzkość) jest czemś więcej, niż sama materia, posiadająca tylko szybkość ruchów.

Mówiliśmy wprawdzie w rozdziale VI o czasie, nie zastanawialiśmy się jednak wówczas nad jego stanowiskiem wobec człowieka, gdy chodzi o położenie jego we wszechświecie; czyniliśmy to jednak dlatego, że mieliśmy o tem mówić dopiero teraz, gdy poszukujemy miejsca istnienia człowieka i jego znaczenia w przestworzu. Mając to właśnie na względzie, musimy obecnie znów poświęcić nieco miejsca czasowi, wymaga bowiem on dodatkowego oświetlenia, ponieważ w chwili powstania teorji względności nabrał pierwszorzędnego znaczenia w krystalizowaniu się pojęć o całym kosmosie. Wszak dawna trójwymiarowość świata stała się już obecnie czterowymiarową i właśnie owym czwartym wymiarem stał się matematycznie utwierdzony czas, bez którego nic materialnego istnieć nie może.

Matematyka, przez teorię względności, rozświetliła naukowo rolę czasu we wszystkich niemal swych odnośnych wzorach, ale i ludzka myśl filozoficzna, zdobywszy pierwszorzędne oparcie w czasie, jasno uzmysławia sobie jego rolę, jako czynnika, bez którego niczego w kosmosie niema, ale i być nie może.

Czas jest nawet w potocznym języku już czemś bardzo ważnem, bo przecież wcale nie humorystycznie mówi się, że „czas to pieniądz". Tylko ci, co to mówią, nie zdają sobie nawet sprawy, że robią bardzo słabe, niemal zupełnie znikome porównanie — i dzisiejszy, ściśle naukowy badacz lub filozof musiałby zaprotestować przeciwko takiemu poniżeniu wartości i znaczenia czasu, bo on to jest nietylko taką marnością, jak pieniądz, ale bez niego wszystko, co się nam wydaje konkretnie istniejącem, łącznie z nami samemi, jako istotami ludzkiemi — jest prawie niczem.

Znaleźliśmy poprzednio możliwie najkrótsze określenie, że bez czasu nicby we wszechświecie istnieć nie mogło, a nawet sam kosmos jest bezeń niedopomyślenia. Jest to zresztą lapidarna prawda, która tkwiła w umysłach mędrców oddawna — obecnie zaś prawda ta otrzymała nietylko etykietę czwartego wymiaru, ale i poczesne miejsce w nowopojmowanej strukturze naukowej wszechrzeczy.

„Atom działania" nie mogący istnieć bez czasu (bo w nim właśnie działa) — jest obecnie jedynym prawdziwym „atomem" to znaczy, czemś niepodzielnem, ale mogącem istnieć tylko w czasie.

Jeżeli nie możemy pojąć przestworza ani w mikrokosmosie, ani w bezgranicznym jego ogromie, to jakże możemy pojąć czas, którego niemal jeszcze więcej, ani co do jego początku, ani końca wyobrazić sobie nie możemy?.

Nauka, licząc czas, liczy go już na biliony lat, ale to nam nic nie mówi, bo ani jego początku, ani końca nie znamy. Widzimy jedynie, a raczej rozumiemy, że zarówno przeszłość tego, co się dzieje, jest przeogromną, jak i przyszłość, w jakikolwiek sposób staralibyśmy ją sobie wyobrazić, przedstawia się w czasie prawie nieobliczalnie.

Jedynie prawo entropji, wsparte nowemi zdobyczami nauki, mówi, że to, co miało początek, musi mieć i koniec, a prof. Lemaitre może w ten sposób swoją energetyczną wybuchową hipotezę powstawania świata mającego początek, jakoby w jednym punkcie kosmosu, podtrzymywać, znajdując oparcie, chyba tylko Eddingtonowskim „pierwiastkiem myślowym" *(mind stuff)*, który ma być jedynym materiałem, z jakiego mogłaby powstać przeogromna energia i następnie bezgranicznie rozlatująca się we wsze strony materia.

Krótko mówiąc — istnieje przeogromna realność czasu; w niej musiał znaleźć się gdzieć przeogromny również bezmiar potęgi energji w postaci myśli, który ukształtował się na tle biegu czasu w różne kwantowo - promienisto - falowe postacie, urozmaicone niezliczonemi punktami uwięzienia tej energji w kształty atomowo-materialne, by następnie tak obficie rozrzucona w kosmosie materia podlegała annihilacji, czyli odzyskiwała wolność w energji promienistej aż do wyczerpania się Eddingtonowskiego „pierwiastka myślowego", z którego powstał świat.

Tak się nam krystalizuje pojęcie czasu.

Ale gdzież w nim, w czasie, możemy ulokować człowieka z jego myślą, jaźnią i bytowaniem?

Oczywiście nie łatwo będzie na to odpowiedzieć, ale jeżeli zwrócimy się znów do nauki, — tej, oczywiście, już nowoczesnej nauki, co rewolucjonizuje od lat przeszło 30-tu najtęższe umysły — to musimy wierzyć, że świat powstał z tajemniczych pierwocin, wśród których jedynie, ta tajemnicza również, a naukowo jeszcze dotąd nie zbadana, elektryczność wystąpiła w najprostszym atomie wodoru.

Jeżeli zaś tak, to wiemy, że droga kompli-

kacji od wodoru aż do 92-ch bardzo skomplikowanych atomów trwała w czasie w realnych okresach, liczących się, niewątpliwie, na wielomiljardowe lata. Z atomów tworzyły się mgławice, te się skupiały w różne gazy, co znów trwać musiało w okresach, liczących się na te wielomiljardowe lata, by powoli rozgrzewać się i rozbłysnąć promieniami światła. — I to był zapewne ów moment, gdy po raz pierwszy „pierwiastek myślowy", tworzący wszechświat, wypowiadał wielkie słowa: „stań się światło".

Ale to były dopiero świecące gazy, skupiające się w długich okresach w bardziej zgęszczone, ale ciągle gazowe słońca, dochodzące przez dalsze, coraz większe zagęszczenia, aż do stanu płynnego.

Otchłań czasu, zapłodniona „pierwiastkiem myślowym", rozświeciła mroki, zawierające już jednak materię, powstającą z uwięzienia w różnych miejscach całej przestrzeni kosmosu energji promienistej. A ta właśnie, jeszcze bardzo lekka materia, jak obecnie niektórzy mniemają (prof. Millikan) [1]), wydziela kosmiczne promienie, powstające przy komplikacji materji (patrz Rozdział XVI).

Na zasadzie jednak, wyłożonej w Rozdziele XVI, a obecnie przyjętej w nauce kosmogonii, wytwarzają się, prawie zazwyczaj, z jednej słonecznej gazowej kuli dwa słońca o konsystencji, przechodzącej w stan płynny, — ale słońca, stanowiące, jakeśmy to wyżej mówili przy opisie kosmogonii, system dwugwiezdny, związany obrotami naokoło wspólnej osi.

Jak wiadomo, tworzyły się, chociaż znacznie rzadziej, i systemy potrójne, a nawet wielorakie, ale zato przypuszczalnie niezmiernie rzadko powstawały słońca pojedyńcze — przytem aż tak rzadko, że astronomia tylko nie chce przeczyć ich istnieniu, bo przecież już raz zaszedł taki wypadek, czego dowodem jest istnienie naszego Słońca.

Nie przecząc więc samej możności istnienia innych systemów planetarnych, astronomowie, doszukując się coraz więcej gwiazd podwójnych i to nawet tam, gdzie przy pomocy słabszych instrumentów widzieli tylko jedną gwiazdę — są w coraz większym podziwie dla naszego słonecznego systemu, bo istnienia innych samotnych gwiazd naukowo stwierdzić nie mogą.

Fakt zatem rzadkości słońc pojedyńczych nabiera cech prawdy, z którą należy się liczyć, a prawda ta przybiera postać przeświadczenia, że gwiazdy pojedyńcze, nawet gdy istnieją — muszą być niezmierną rzadkością w przestworzach.

Posuwając się zatem w otchłaniach czasu, musielibyśmy widzieć coraz więcej gwiazd, powiedzmy, rozkwitłych, ale ułożonych w systemy dwu i wielogwiazdowe, wśród których od rzadka byłyby i samotne, a wszystkie krążące po jakichś orbitach, mających związek z obrotem tej galaktyki, do której należą.

Wśród takiego stanu rzeczy już zdarzyć się mogły i zdarzały zbliżenia jednych do drugich (jakie nawet teraz zapewne się spotykają), będąc przyczyną różnych mniejszych i większych katastrof, o których bywa mowa w Rozdz. XIII).

Katalizm, jakiemu zawdzięczamy powstanie naszego systemu słonecznego, wydarzył się około $2^1/_2$ miliarda lat temu, ale okres możliwości takich katastrof trwa dotąd, czego są dowodem tak zwane gwiazdy „nowe". A podobno wogóle możliwości katastrof dla każdej gwiazdy mieszczą się w odstępach $\pm$ 4 miliardów lat (patrz Rozdz. XIII.)

Biorąc powyższe dane i rozumowania pod uwagę, musimy stwierdzić, że początku powstania wszechświata, — a więc momentu, gdy „pierwiastek myślowy" wyładował się w postaci myśli twórczej, wywołując kosmos z „próżni" lub „pustki" — niepodobna żadnemi miliardami lat określić.

Najbliższem prawdy wydaje się, że jesteśmy obecnie w tym okresie istnienia wszechświata, jaki możnaby uważać za środkowy, bo bezmierną otchłań czasu widzimy już naukowo poza sobą i takąż bodaj bezmierność zdajemy się widzieć przed sobą. Żadnych naukowych wniosków co do okresu, dzielącego nas od początku, czy końca obecnego stanu we wszechświecie wcale niema. Wiadomo tylko, że był początek, więc musi być i koniec, bo tego dowodzi entropia.

Tak więc pojmując samo tylko istnienie wszechrzeczy, musimy patrzeć ze szczególną uwagą i dociekliwością na fakt biologicznej komplikacji materii w naszym systemie planetarnym, by możliwie zbliżyć się do prawdy w jej objawach na terenie bezmiaru czasu, który jest jedyną realnością, nie podlegającą żadnym zmianom, prócz nieustannej płynności, a nawet mogącą być uważaną za tło stałe, a wszystko, co się w niej dzieje, za coś, co w tym czasie bieży lub się zmienia.

Komplikacja materii idzie od początku przez komplikowanie się atomów, co znaczy przez zwiększenie się w nich ilości elektronów oraz zmienianie się układu w atomach, czy to w postaci coraz cięższej, pod względem wagi, komplikujących się jąder, czy też nawet przez kształt orbit, po których elektrony krążą. — Orbity zaś eliptyczne tworzą, poniekąd, całą chemię (patrz Rozdział III), komplikują wszelką materię, wśród której my żyjemy — więc sama zdolność atomów do tworzenia większych lub mniejszych molekuł, gra w sprawie procesu komplikacji pierwszorzędną rolę.

Już pierwszy rzut oka na tablicę pierwiastków daje nam pierwszą pionową kolumnę pierwiastków szlachetnych, które nie łączą się wcale w molekuły (hel, neon, argon, krypton, ksenon i emanacja radu), co jest dla nich charakterystycznem. Przeciwnie jednak, dla wielkiej komplikacji, któraby mogła tworzyć świat istot organicznych, potrzeba było istnienia pierwiastków o szczególnych właściwościach, ułatwiających tworzenie się lekkich, ale jaknajwiększych i ewentualnie, jaknajdłuższych molekuł, co już biologowie obserwują, jako tworzywo zarówno dla ożywionych ciał mikroskopowo-drobnych pierwotniaków, jak i najwyżej ukształtowanych roślin i zwierząt, których szczytem jest ciało myślącej istoty, jakim jest człowiek.

Tak uzdolnionych atomów jest istotnie zaledwie kilka, a mianowicie: wodór, tlen, węgiel, azot, siarka, wapń, żelazo i fosfor — i te stanowią główne podstawy budowy materii organicznej, na tle najpierwotniejszego, najlżejszego, ale stojącego już na czele wszystkich pierwiastków, jakim jest wodór. Ale wodór przy swej jednoelektronowości ma aż 30 orbit, jako dróg obiegowych dla swojego jedynego elektronu; — i przez to właśnie posiada wielkie zdolności do wiązania się, przy pewnych

[1]) Słowa prof. Millikan'a: „*The creator is still on the job*" („*The Mysterious Universe*", str. 65), co znaczy: „Stwórca jest jeszcze przy pracy".

warunkach (szczególniej termicznych), w wielkie i długie molekuły.

Biorąc powyższe pod uwagę, możemy sobie obecnie już zdać sprawę, jak wiele potrzeba warunków, któreby się zbiegły razem, dla wytworzenia odpowiedniego podłoża dla powstania i rozwoju istot organicznych.

*

W jednym z poprzednich rozdziałów pozwoliliśmy sobie rozpocząć omawianie stanowiska człowieka, jako ciała biologicznego, i na tem miejscu doszliśmy do przeświadczenia, że powstanie istot organicznych wymaga bardzo wielu warunków, z których każdy jest znikomą cząstką jakiejś całości. Czy to bowiem przestrzeń, czy materia, czy szybkość ruchu materii i energii, czy temperatura, czy wreszcie niezliczone miliardy gwiazd-słońc — wszystko stanowi ogromy, przygniatające naszą myśl swoją wielkością, lub obojętnością, a przybita, gnieciona tym ogromem myśl ludzka stwarza wprost chaos i z wielką tylko trudnością może sobie odpowiedzieć na pytanie — *quos ego?* (czem jestem?) — jakie wreszcie jest moje stanowisko w tym przeogromie?

Istotnie zadanie jest niezmiernie trudne, ale sądzimy, że to, cośmy powiedzieli w 3-ch ostatnich rozdziałach — daje nam do myślenia, bo, wskazując niezmierną naszą nikłość w dziedzinie materialno-ogromowej, jakgdyby naukowo coraz więcej podnosiło rzadkość zbiegu warunków, by podłoże istot organicznych mogło powstać na jednym globie, lub w jednym nawet systemie planetarnym. Mówimy „podłoże", ale tu chodzi o coś jeszcze rzadszego, bo o samo istnienie świata biologiczno-organicznego, a w nim jeszcze istot myślących; a i tego nie dosyć, bo takiego tych istot rozwoju, by na ich czele powstała istota nietylko myśląca, która opanowała wszystkie pozostałe — a i tego jeszcze zamało — istota, jak nam rozum i samopoczucie każe wierzyć, obdarzona wolną wolą i obdarzona wyjątkowym przyrodzonym darem odróżniania „dobra" od „zła".

Nagromadzenie tak trudnych warunków niesie nam właśnie nauka w swych rewolucyjnych z ostatnich lat objawach. Ona to coraz więcej zaczynając wątpić o możności istnienia mnogości światów zamieszkałych — zbliża się myślą do jakiejś niemal wyjątkowości, a więc może i wyjątkowej celowości istnienia człowieka.

STANISŁAW MAJEWSKI

# KRASIŃSKI W „ZWOLONIE" NORWIDA

(Dokończenie)

6

W TYM samym właśnie czasie, kiedy się toczyła owa rozmowa poetycka, latem 1848 r., błysła w wyobraźni twórczej Norwida wizja scen dramatycznych *Zwolona.* Otóż nie pomylimy się zapewne, przyjmując, że „monologia" ta w znacznej mierze miała być transpozycją owoczesnych doświadczeń: entuzjazmów i rozczarowań pokolenia, ale niemniej i doznań osobistych, własnego życia duchowego poety, że — co za tem idzie — miał się w niej wyrazić także ów niezapomniany akt przekazania mu władzy wodzowskiej przez Krasińskiego. Wyraził się on tam w formie stosunku między Zwolonem a Pacholęciem. Według tego pierwowzorem pierwszej z tych postaci byłby w znacznym stopniu Krasiński, drugiej sam Norwid.

Bez zachodu stwierdzimy, że *Zwolon* ma wyraźne (o ile w tym wizyjnym utworze o wyraźności mówić wolno) rysy Z. Krasińskiego. Fizyczne i duchowe, zaznaczające się w kolejach życia, zarówno jak w postawie duchowej.

Nie przypadkowo zaznaczył Norwid taki a nie inny stosunek podnieconego przez demagogów tłumu do Zwolona-poety: grożą mu latarnią i gonią, bijąc kamieniami, przez ulice miasta. Tak właśnie było raz z Krasińskim. Opowiadał on Norwidowi o swem zajściu z kolegami uniwersyteckimi w r. 1829, a opowiadać musiał w sposób podobny, jak to Norwid po latach ujmie w liście do Br. Zaleskiego, pisząc o Krasińskim, że był „goniony bez czapki przez pędzących za nim z kamieniami (a czemu ani jeden protestu nie założył)". Drugi szczegół wywodzi się z korespondencji. We wrześniu 1848 r. donosił Krasiński L. Orpiszewskiemu o napaści niejakiego majora Czarnomskiego, czerwonego demokraty, który mu groził „latarnią jako największemu arystokracie i poecie"; doniósłszy zaś, dodał: „udziel Norwidowi tych szczegółów i donieś mu, że u tych panów poezja przeznaczona do latarni,—niech się więc strzeże".

Oba te wątki wplotły się żywcem w dramat, w taką oto scenę sponiewierania Zwolona:

Wszyscy: Znamy się! dobrześ Acan w puchu leżał'
Kiedy się mury rwały...
Szołom (w tłumie): Tego gacha
Trzeba nauczyć raz!
Sierżant: Latarni niema!...
Kobieta: Ale kamienie są—razem czterema!...
(Zwolon uchodzi—za nim tłum).
Tłum (goniąc): Och! a!—filozof skoczył!.. bah! w kolano
Przyśpiesza kroku!...
(Giną w bocznej ulicy).

Wszystko tutaj tak właśnie, jak było w relacjach Krasińskiego. Nawet ten drobny szczegół że to wojskowy odgrażał się mu latarnią, oblekł się w ciało poetyckie najściślej.

Co do poglądów ideowych zaś, to pamiętamy, że podźwięków Krasińskiego w przemówieniach Zwolona dosłuchał się już Miriam. „Śladów tego wpływu — pisał — nietylko ideowych, lecz nawet słownych i rytmicznych, sporo możnaby stwierdzić w *Zwolonie.* Nie echem-że Krasińskiego są wiersze: „Aniołowie! co jest pieśń narodu..." etc.? A nie *Przedświtem*-ż i jego „próbą grobu" pobrzmiewa: „to kolebka—to truna"? Spostrzeżenie rzeczywiście trafne. Zbieżności takich znaleźć by można więcej: w obrazowaniu, we frazeologii przemówień bohatera tytułowego. Ale nie jest to najważniejsze.

Najważniejsze jest, że zasadnicza postawa psychiczna Zwolona, że cała koncepcja zwolenia jest rodem z Krasińskiego, z *Psalmów przyszłości.* Przecież *in nuce* mieści się ona całkowicie w czterowierszu z *Psalmu miłości*:

Czas już przejrzeć Boga wolę,
Czas anielski podjąć trud,
Czas odrzucić wszelki brud —
I tem samem znieść niewolę!

Całe rusztowanie ideowe, nieomal główne wiązanie akcji dramatu Norwidowego znajdujemy w *Psalmach*. Takiż sam u Krasińskiego pogląd na zawodność zemsty:

Lecz nie we krwi, którą zemsta leje,
Cel Polski tkwi.
Zemsty dzieje zemstą tylko,
Chuci chwilką.

To samo obrzydzenie do Polski domagogów, co „zczerwieniona, rozczochrana — zakochała się w szatanie". Podobnież pokazana ona w *Zwolonie*: „co jak piana wywścieklana..." etc. To samo uwielbienie niepokalanego jej godła i jej narodowej sławy. Taż sama tu i tam wizja przewodnia, wizja zmartwychwstania Polski, jasnej orędowniczki narodów, z „dłońmi w skrzydła przepadłymi":

Błogosławienie i zapomnienie,
I Zmartwychwstałej cień
(*Zwolon*, sc. 3).

Wreszcie co najważniejsza: to samo, w *Psalmach* stwierdzone, w *Zwolonie* pokazane w akcji, przeświadczenie, że w ślad za „przejrzeniem" Bożej woli, za „zwoleniem", za przemianą dusz, jakoś samorzutnie, „tem samem", nadejdzie „o żniw porze"—czekany „zbożny czas". Rozpłomieni się święty bunt,

Ziemię zbroczy gęsty wróg,
Twierdz i więzień prysną mury,
Duchem zatlon—ogrom zgorze
Jak suchego siana stóg.

Końcowa scena *Zwolona* nie jest niczem innem jak tylko udramatyzowaną wizją tego właśnie momentu, zapowiedzianego w *Psalmie*: „Duchem zatlon" lud jednym odruchem burzy tam mury twierdz i więzień, rozgramia wojsko króla-despoty, „znosi niewolę".

Jeżeli zatem trafnie dopatrzyliśmy się w postaci Zwolona rysów Krasińskiego, a w ideologii dramatu jego ideologii z *Psalmów*, — wolno chyba i w stosunku tej postaci do Pacholęcia widzieć odbicie rzeczywistego stosunku Krasińskiego do „chłopca" Norwida w r. 1848, tego stosunku, co się wyraził w owej rozmowie poetyckiej z lata tegoż roku.

Pacholę w *Zwolonie* jest jedyną istotą, która staje przy odepchniętym szermierzu zwolenia; jest też jego następcą, przejęło przekazaną mu ideę i doprowadzi ją do zwycięstwa, urzeczywistni, co tamten widział „w przeczuć mroczy", urzeczywistni wtenczas, gdy tamten „z trupami pokotem leżeć będzie — trup", gdy Zwolon spocznie w grobowcu klasztornym. Znowu widzimy, że w dramacie rzecz ujęta została tak, jak była wytyczona w rozmowie poetyckiej.

Zwolon umiera[10]), ale z dymów obrzędu pogrzebowego wyłania się jeszcze jego ręka, „jakoby kłos żółtawa, drżąca jak promienie", i przekazuje ostatnią wolę Pacholęciu dla wykonania w zbiorowości narodu:

weź nazwisko, które jest ze świata
I już mi niepotrzebne, i już precz odlata,
Weź,—ale i was dodaj wszystkich.

[10]) Zwolon umiera. Nie jest ta sprawa dość jasno uwydatniona w dramacie, stąd bałamutne interpretacje tej sceny. Miriam mniema, że on żyje do końca, tylko wycofuje się w mury klasztorne,—jak Norwid kiedyś wycofa się z życia do przytułku. Jeżeli nawet w sc. 10 majaczenia Chłopca w gorączce mogą zostawić niejaki cień niepewności to zwiewa go całkowicie Matka. Towarzyszyła ona Chłopcu na obrzędzie i mówi wyraźnie, że to był obrzęd pogrzebowy:

Pogrzebu widok,—przytem tłum i dym i świece...

Taką interpretację wniósł i uzasadnił p. Br. Nycz we wspomnianej rozprawie rękopiśmiennej.

Jakoż Pacholę wolę tę wypełni. W toku wydarzeń stanie się, jak Krasiński przepowiedział Norwidowi:

A kto zacny — ocaleje,
A kto zacny—święte dzieje,
Święty rozpocznie świt!
Wejdzie z skał Tarpejskich bolu
Do żywota Kapitolu,
Wejdzie na wieków szczyt.

Pacholę dramatu weszło do Kapitolu żywota, zobaczyło „snów swych wżywotwzięcie".

Tak się wykładać ma zwycięstwo, którego widownią jest scena końcowa *Zwolona*.

7

Wracamy do punktu wyjścia. Po wywodach powyższych jeszcze jaśniej się okazuje, że scena ta nie może przedstawiać jednego jeszcze porywu niewczesnego, nie jest obrazem „brnięcia w tymczasowościach" — tak sądził Miriam. Ale właśnie że jest wydźwiękiem optymizmu, jest sceną wieszczą, zapowiadającą nieodległe zwycięstwo, odniesione przez moc uduchowioną i wyszlachetnioną, nad przemocą despotyzmu nad złem świata. Przez optymizm wieszczby, przez pewność przeświadczenia, że „nim jeszcze ten wiek minie,—wejdzie ludów lud jedyny", staje *Zwolon* tuż obok *Przedświtu* i *Psalmów*.

Do zwycięstwa ostatecznego, do wy-z-wolenia powiedzie Pacholę na koniu królewskim, jako wódz triumfujący. I Norwidowi-„pacholęciu" w młodzieńczych snach poetyckich marzyło się wodzostwo narodu...

Ironia losów sprawiła, że ten pierwszy wyraz tęsknoty jego za wodzostwem nie znalazł uznania ani u publiczności i krytyków, ani — co boleśniejsza—nawet u pierwowzoru bohatera tytułowego, u Krasińskiego. Kiedyś jesienią 1850 r. Norwid radził się Krasińskiego (i Cieszkowskiego także), czy ma drukować *Zwolona*, może im nawet czytał fragmenty, ale zgodny ich sąd był — ujemny; zarzucali utworowi ciemność i odradzali druk. Kiedy Norwid mimo to pozwolił Koźmianowi wydać „monologię" i doczekał się złośliwej recenzji Siemieńskiego w *Czasie*, oraz niewinnych zapewne opinij prywatnych, Krasiński—poróżniony już z nim wtedy—pisał w liście do przyjaciela: „O dziecko, dziecko znarowione, K. C. N.! Nie słuchał — wydrukował—teraz ma zato sądy ludzkie".

Dzisiaj sąd o „ciemności" *Zwolona* musi wypaść łagodniej; mroki jej przetarły się już znacznie, wiązania ideowe dramatu występują naogół wcale wyraźnie. Inna rzecz, że okazuje się przytem, iż wymiary ich niewiele oddalają się od wymiarów *Psalmów* Krasińskiego.

Pod względem artystycznym ten rodzaj „monologii", luźnych, kalejdoskopowych, krótkich scen dramatycznych wyprzedza o pół wieku St. Wyspiańskiego *Legion*. Możnaby nawet między tymi oboma, zbliżonymi także tematycznie, utworami przeprowadzić paralelę, ale porównanie nie wyszłoby chyba na korzyść *Zwolona*. Jak na dramat, niema on wyraźnie i twardo zawiązanego węzła konfliktu; jak na widowisko — brak mu obrazów tak bogato rozwiniętych, tudzież scen tak sugestywnie wbijających się w wyobraźnię widza, jakie są w utworze Wyspiańskiego.

Jedno wszelako mają wspólne te utwory: oba są w konstrukcjach ideowych intensywnie nasycone myślą Krasińskiego.

STANISŁAW PIGOŃ

# NA WIDOWNI

Powieść i jej podszycie społeczne. — Estetyka i kultura. — Pisarz nie jest sam. — W literaturze gospodaruje także czytelnik. — Pisarz uzupełnia życie. —Głód ciekawości i egzotyka bajki. — Nie można ignorować treści i tendencji.

NIE MOŻNA się skarżyć na brak rozmaitości w obecnej literaturze powieściowej. Najwięcej opowiadania o odkryciach, poczynionych na gościńcach i w zaułkach współczesnego społeczeństwa, ale nie brak też wycieczek w czasy minione. Najwięcej realistycznej bezpośredniości opisu, ale mamy też inne gatunki. Warto przeczytać w ostatnich trzech zeszytach „Przeglądu Współczesnego" studium Karola Zawodzińskiego o polskiej powieści współczesnej, aby się przekonać, jaka jej mnogość i jaka rozmaitość typów.

Co do mnie, do uwag poniższych biorę pochop z tych utworów, które przypadkowo miałem w ręku. Teraz np. przeczytałem powieść p. Poli Gojawiczyńskiej „Rajska jabłoń", a bezpośrednio potem zagłębiłem się w dzieło Wacława Berenta „Diogenes w kontuszu". Niepodobne są do siebie z maniery literackiej i z widnokręgów, w których obracają się autorzy, przytem ich pola obserwacyjne oddzielone są od siebie przestrzenią 150 lat. Tu i tam jednak ta sama Warszawa. Wspomniana autorka patrzy na ludzi bezpośrednio w sposób naturalistyczny, Berent przez lunetę literatury ówczesnej i historycznej. Gojawiczyńska robi z życia literaturę, Berent z literatury—życie. Dwa pokolenia literackie, odwrócone do siebie tyłem, oba jednak zaprzeczają temu trzeciemu, które, jak prof. Kridl, emancypując literaturę do bytu autonomicznego, piszą o życiu w cudzysłowie: „t. zw. życie".

Niewątpliwie sztuka pisania powieści, poszukującej dla siebie tak różnorodnych form i sposobów technicznych, przedstawia wdzięczne pole dla teoretyków literatury, którzyby pragnęli ująć ją w jakiś system praw estetycznych i wynaleźć ogólne dla wszystkich rodzajów kryteria wartości artystycznych. Mnie w danej chwili przychodzi ochota wypisać na marginesie wspomnianych utworów parę uwag o psychologii powieści, jako objawu pewnych procesów kulturalnych i społecznych.

Zarówno Berent ze swoją literacką zaciekliwością w odtwarzaniu życia z „próchna" czy „żywych kamieni", czy dokumentów archiwalnych, jak i Gojawiczyńska, płonąca ciekawością do żywych przejawów otaczającej ją rzeczywistości — piszą nie dla siebie, lecz dla tych, co będą słuchać ich opowieści. Dynamiczna strona ich wysiłku twórczego w tej potrzebie społecznej ma swoje źródła godne też zastanowienia, a nawet przedewszystkiem. Bo tutaj leży kwestia treści tego, co pisarze opowiadają i dla czego, to znaczy kwestia tendencji. A dla kultury jest to zagadnienie tem większej wagi, że dzisiaj powieść wyrugowała z czytelnictwa wszelką inną produkcję literacką. A przecież zadecydowała o tem publiczność, nie teoretycy literatury.

— — — — — — — — — — — —

Jest w tem sporo humoru, bo jednocześnie nauka o literaturze coraz precyzyjniej uzasadnia tezę o konieczności traktowania literatury jako zjawiska autonomicznego, niezależnego od życia, a więc i publiczności. Mamy więc bardzo piękne studia nad powieścią współczesną, której rzeka płynie jak nieuregulowana w brzegach Wisła czasu powodzi, mętna, unosząca na fali najrozmaitszy dobytek kultury ludzkiej i nędzy. Krytyka nie zajmuje się treścią powieści, natomiast zastanawia się głęboko nad formą i techniką. Tu widzi objawy rozwoju, tam niedociągnięcia. Posługuje się przytem, — ze względu na mnogość utworów — metodą statystyczną i systematyką, a więc: powieść realistyczna, psychologiczna, publicystyczna, historyczna, podróżnicza, sportowa, fantastyczna, biograficzna, reportażowa.

Najbardziej imponuje mi metoda t. zw. technologów artystycznych, którzy zasadniczo odrzucają od siebie troskę o treść utworu, zwłaszcza o jego związek z t. zw. „życiem", a więc związek utworu ze środowiskiem, uwzględnionem w utworze, i z osobą twórcy. Krytyka, ich zdaniem, zajmować się winna tylko wartościami artystycznemi słowa i struktury utworu. Imponują mi — powiadam — swojem samozaparciem, skazują się bowiem na to, że ich nikt nie czyta. Bo co kogo może obchodzić wyrok talmudysty, który powołać się może tylko na metodę stosowania swego gustu, ale nie przedstawia świadectwa, że ma dobry gust? Gdyby miał dobry smak, toby szukał właśnie związku duszy tworzącej z literą. Między literą a życiem jest słowo. Słowo, napęczniałe krwią życia.

— — — — — — — — — — — —

W danym wypadku chodzi mi o powieść. Jak wynaleźć kanon estetyczny dla tak różnorodnych odmian powieści, odmian, zależnych właśnie od materii, z której powieść jest robiona? Chyba to jedno kryterium, czy się dobrze czyta ją. Ale w tym względzie miarodajny będzie poprostu „czytelnik". Krytyk będzie tylko jednym z czytelników. Może siadać, bo co ma do gadania?

Chodzi mi o tego czytelnika. On jest gospodarzem w światku powieści, on ustanowił jej hegemonię w literaturze. W jaki sposób ten czytelnik (publiczność) wdarł się tak przemożnie do literatury? Czy przez ciekawość litery (formy)? Nie. Przez ciekawość życia. Dlatego uważam, że oprócz estetycznego mamy w tem zjawisku interesujące zjawisko socjologiczne.

— — — — — — — — — — — —

Racją bytu powieści jest tkwiąca w człowieku potrzeba delektowania się wszelkiemi objawami życia. Człowiek normalnie swego życia nie bada, nie rozumie go, nie lubi rozumieć, pokrywa je intymnością nie uważa za ciekawe. Każdy etnograf wie, że lud nie znosi w literaturze czy w widowisku swego widoku. W tem co sam tworzy (szopka) wszystkie pomysły są ze świata egzotycznego dla wioski. Najdalszem zadaniem umysłu jest poznawanie samego siebie (*gnoti se auton*)—to ideał poznania. Normalnie ciekawość życia pociąga człowieka na zewnątrz.

Na tem właśnie oparty jest przemysł powieściowy. Dziełami „sztuki" są te powieści, gdzie pisarz za nicią liryczną Ariadny wkracza w labirynt życia w poszukiwaniu samego siebie. Tu się zaczynają arcydzieła.

Dzisiejsza powieść jest przeważnie przemysłem, opartym na potrzebie pospolitej czytelnika, pełnego ciekawości do życia. Pociąga go tam

instynkt poznania: a nuż tam nareszcie odnajdzie siebie, człowieka, zagubionego w falach życia.

Bajka o życiu nigdy nie miała słuchaczów głuchych, zaspakajała głód ciekawości. Różnych zaś rzeczy ludzie są ciekawi i to po kolei. Człowiek ze swoją ciekawością idzie do siebie z daleka. Naprzód go interesuje świat fantastyczny, potem bajki o bohaterach: Wyrwidębach i zbójnikach, potem o przecudnej Magelonie i o królach, od Salomona i Aleksandra Macedońskiego począwszy, o bogaczach i skarbach; aż przyszedł czas, gdy jeszcze poszczególne warstwy w społeczeństwie mało się znały, znalazła się powieść rodzima: dla mieszczuchów o szlachcie, potem dla szlachty o mieszczuchach, potem dla jednych i drugich o ludzie wiejskim i t. d.

Układało się bajki tak, aby ich słuchano, pisano tak, aby je czytano. Talent polegał na wyimaginowaniu czegoś, coby odpowiadało ciekawości. Twórczości przyświecała zawsze celowość społeczna. Twórca był zawsze delegatem swego środowiska, wysłanym w świat obcy po bajkę.

— — — — — — — — — — — —

Krytyk, stwierdzający, że dany pisarz powieści ma talent, jest rodzajem notariusza, który poświadcza mandat, dany pisarzowi przez publiczność. Fatyguje się jednak niepotrzebnie, bez niego bowiem publiczność praw swoich dopilnuje. Któż bowiem dawał mandat autorom powieści, sprzedawanych na odpustach i jarmarkach, czem może wykazać się „Trędowata"? Mówię o tem dla tego, żeby wskazać, jak doniosłym współczynnikiem w twórczości powieściopisarskiej jest czytelnik, publiczność, i że bez brania pod uwagę tego momentu socjologicznego trudno jest powieść jako zjawisko kulturalne zrozumieć.

Ale nawet pod względem czysto literackim nie jest to zagadnienie bez znaczenia. Gdyby powieść, jak przysięgają sami twórcy, krojona była na model Muz, z inspiracji wyłącznie artystycznej, każdy utwór mógłby wszędzie być drukowany. W rzeczywistości jest inaczej. Powieści teraz pisane są na różne poziomy czytelników i na różne kierunki. Dzienniki zwłaszcza ułatwiają pisarzom drogę do publiczności i z góry determinują gatunek utworu. A gdy wreszcie powieść wyjdzie w książce, bez trudu się widzi, dla jakiej widowni świat był pokazywany. Mamy teraz powieści — ze względu na barwę — „sanacyjne", socjalistyczne, narodowe. Autorzy opowiadają swojej publiczności bajki o tem, co się dzieje po drugiej stronie frontu politycznego.

— — — — — — — — — — — —

W duchu czasu traktowane są t. zw. studia społeczne. Pisarzy, szukających poczytnego tematu, wydawcy kierują ku propagandzie. Kiedy więc przychodzi pora na „front ludowy", wtedy powieść wzrusza tematami proletariackiemi, ale przedewszystkiem zohydza burżuazję. Czyta bowiem chętnie te rzeczy sama burżuazja dla sadystycznej przyjemności i inteligencja, ogarnięta prądem reformatorstwa społecznego. Proletariatowi pokazuje się wnętrze mieszczaństwa, temu zaś —wnętrze proletariatu. Dawniej pisało się dla szlachty, teraz ona mało czyta.

Pod pozorem studiów społecznych, acz nie bez pożytku społecznego, gdy tamte kwestie nucą, wyszukuje się bardziej specjalne „odcinki" życia, sferom czytającym mało znane. Czytelnicy zwiedzają mało znane zakamarki społeczeństwa. Ludzie z ciekawością czytają nawet powieści przez fachowego złodzieja pisane. Teraz mamy powieść napisaną przez kelnera. Kto inny wprowadza w świat biurokracji. Wszystko to jest ciekawe, chociaż nie wszyscy i nie zawsze przyznają się, że ciekawe jest dlatego, iż wszędzie odnajdują w każdym z tych światów cząstkę swej duszy...

Dogadzanie ciekawości ludzkiej, leżące w instynkcie powieściopisarza, bywa dodatnim czynnikiem kultury, kiedy natrafia na niezaspokojone tęsknoty w duszy czytelnika. Taką rolę pełni powieść historyczna w czasach, gdy warunki życia i hasła wieku nie pozwalają człowiekowi oglądać się poza siebie. Powieść historyczna staje się wtedy smakołykiem umysłu i pochłaniana jest jak reportaż z zapomnianego świata, choć tak bliskiego instynktowi życia, który przecież tyle zawdzięcza przeżyciom odległej przeszłości.

— — — — — — — — — — — —

Przerwać trzeba ten traktat dla braku miejsca. Ale może na podstawie tych paru uwag przyznają mi czytelnicy rację, że krytycy, hołdujący zasadzie badań estetecznych w oderwaniu od życia, muszą mieć duży kłopot... ze znalezieniem dla siebie czytelników. Bo właśnie jeśli kiedy, to teraz poszukiwana jest krytyka pomocna do orientowania się w prądach, posługujących się literaturą. Usuwać się można od tego obowiązku albo z poczucia braku sił, albo dla wygody, żeby zachować cnotę literacką i nie przeszkadzać propagandzie.

ZYGMUNT WASILEWSKI

# NAUKA i LITERATURA

## NIEZNANA POWIEŚĆ ORKANA

Władysław Orkan: „Czantorja i pozostałe pisma literackie". (Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa — 1936. Str. 298).

W NINIEJSZYM tomie „Dzieł" podhalańskiego poety zebrał prof. Stanisław Pigoń i ogłosił bądź zupełnie niedrukowane materiały, bądź rozproszone po czasopismach i wydawnictwach zbiorowych, w których, jak np. w czytankach dla młodzieży szkolnej, Orkanowi powierzono pewną cząstkę do opracowania, ściśle biorąc, korzystano z jego już gotowych rzeczy.

Niewielkie urywki, zachowanej we fragmencie i w planie pozostałych rozdziałów powieści, „Czantorja" drukowane były po śmierci autora w „Czasie (1931, nr. 78) i w „Tęczy" (t. r., nr. 11). Utwór ten powstał w latach 1928—29, prawdopodobnie jako praca na konkurs powieściowy, ogłoszony przez wojewodę śląskiego. Jakoż sięga w treści do źródeł Wisły i epoki patriachalnego ustroju w pasterskiem społeczeństwie, zaludniającem tę napół dziką krainę.

Opowiada dzieje miłości juhasa i juhaski, których rozdziela obca ich sercom, waśń i nienawiść rodowa. Jakby akord z romansu „Romea i Julii" tylko w gęślikowej, góralskiej transkrypcji.

W nastroju zbliża się „Czantorja" do opowieści o Jewce i dwuch braciach („Drzewiej"), zwłaszcza, jeśli ch[illegible] o archaiczność stylu, będącego zresztą raczej pełny[illegible] odzi zem tęsknoty autora do „najcudowniejszego z[illegible] m wyrażeń", jakiem zapewne — dawność ginąca w[illegible] moich maniż wiernem owej dawności odbiciem. [illegible] mgle dziejów,

Język Orkana, mimo że z pocz[illegible] surowej prostoty przyzwyczaić, [illegible] ku trudno się do jego [illegible] pierze" czytelnika dokład-

nem dopasowaniem brzmienia do oznaczanej treści, a więc bardzo silnemi i świeżemi wciąż więziami skojarzeniowemi jakie zespalają wyobrażenia językowe wyrazów i zwrotów z ich wartościami pozajęzykowemi. Mowa tego wiejskiego literata jest żywem zaprzeczeniem dziennikarskiego werbalizmu, będącego plagą współczesnej literatury, czaruje czytelnika tem, że możemy oglądać myśl nie w gotowym kształcie wyrazowym, ale jakby w momencie trwającego jeszcze stawania się językowego.

Prócz „Czantorji“ zamieszczono w niniejszym tomiku fragment powieści historycznej, osnutej na tle stosunków Polski z Wołoszą, tutaj z hospodarem Lupułem, p. t. „Ruiny". Utwor ten, podobnie jak „Czantorja, jak i przytoczone poniżej: autobiograficzna powieść „Jan Krzysztof—Polski“, oraz na tle rzeczywistych losów kolegi Orkana osnuta powieść „Tragedia Burtanów“ — wszystkie doprowadzone zostały w przeważnej swej części aż do końca, w formie dyspozycji materiału, planu, rozdziałami realizowanego.

W dwuch seriach „nowel i obrazków" znalazły się tak wysoko kunsztowne, o głębokiej nieraz symbolice, opowiadania, jak: „Sama", „Zła zima", „Orły", „Dyzma w Betlejemie", że wymienię najcelniejsze, z których osobliwie ostatnie nietylko budzi podziw wnikliwością psychologiczną, niezbędną dla dotarcia do serc i umysłów prostych, ale i wzrusza ewangeliczną, a nieuświadomioną świętością postaci przygłupiego pastucha Dyzmy. Podobny pomysł u Tetmajera („Na skalnem Podhalu“), opowieść o „sietniaku“, oparty zresztą na dość częstym w tamtych stronach fakcie istnienia, poniewieranych przez społeczność wiejską, niedojdów, posłużył mu za pretekst do dosadniejszej charakterystyki i kapitalnych, pełnych naturalizmu scen, ale nie przywiódł do tego poziomu symbolu, co u Orkana, każąc raczej wygrać nastrój na mniej tęgiej nucie humanitaryzmu.

Są tu i dydaktyczne opowiadania dla ludu: „Prędki Michał“, „Inklus w gospodarstwie“, w których poznajemy autora w roli społecznika, — i o zabarwieniu społeczno-politycznem: „Dziki“, „Wyborca“, w tendencji demokratyczne, i humorystyczne wreszcie: „Co ma wisieć — nie utonie“, ‚Przez co Sabała omijał jarmark w Kieźmarku".

Perłą w tym dziale jest szkic „Betlejem i Asyż“ (druk, w gwiazdkowym numerze „Kuriera Lwowskiego“, 1909, nr. 352), o „trzech fazach boskich stosunku człowieka do zwierzęcia, starozakonnem p r z y m i e r z u, betlejemskiem p r z y o s w o j e n i u i wreszcie p r z y j a ź n i św. Franciszka“. Dobrze maluje nastrój życzliwości dla zwierząt, w jakim w góralskiej chacie wzrastał Orkan, a napomyka charakterystyczne szczegóły obyczajowe, znane już czytelnikom biograficznej „Matki“ Sewera.

Bardzo bogaty jest dział „szkice i wspomnienia literackie“; zawiera dłuższą rozprawkę o jednym z najwcześniejszych poetów Tatr, Franciszku Nowickim, twórcy, który odnalazł swobodę, zaklętą w turnie i zamarłe stawy, gdy jej nie było w ojczyźnie, gdy w dodatku pozytywizm tłumił każdy poryw tęsknoty za idealnem pięknem w sztuce, każąc jej służyć wyłącznie bieżącym potrzebom chwili. Większa rozmiarami jest także rozprawka, a właściwie zebrane trzy przedmowy, traktujące o bratnich Orkanowi poetach podhalańskich (Józefie Jedliczu, Feliksie Gwiżdżu i Andrzeju Galicy) — jak również „O literaturze ukraińskiej“, ciekawe ze względu na ciepły ton, jakim darzy autor zrozumiałą dlań, bliską twórczość—typowy produkt kultury ludowej.

Sporo interesujących drobiazgów, ważnych dla historyka epoki przynoszą artykuły: „Pułkownik Miłkowski“, „Maria Wysłouchowa“, „Jakób Bojko jako pisarz“, „Młoda Polska“, „W sprawie Stanisława Brzozowskiego“, „O Stanisławie Witkiewiczu“, „Wspomnienia Witkiewicza“, „C i c h y P a n“, „Podhale w życiu Kasprowicza“.

Artykulik „Wieś Tetmajerów“ wyjaśnia w części genezę „Rosiczki“ ze „Skalnego Podhala“.

Oczywiście krytyki literackie Orkana zbyt są subiektywne, aby je można było zaliczać do klasycznych okazów tego gatunku: liryzm przepaja je nieomal na każdem miejscu.

Będziemy to mogli stwierdzić, czytając, przy okazji rzeczy o Franciszku Nowickim, namiętny atak na pozytywistów—lub „O odczuwaniu dzieła sztuki“, rzekomo w podtytule, odczyt „z powodu Wyzwolenia“, w rzeczywistości manifest młodopolskiej wiary w sztukę Słowackiego.

W dziale „Myśli“ zadziwiają swą nieoczekiwanością „Rzuty i szkice do teorii socjalnej“.

Co przybiera Orkan za punkt wyjścia?—„P o d s t a w y: 1. Gatunek „człowiek" składa się z różnych duchowych r a s, z ludzi na różnych stopniach umysłowego rozwoju będących. 2. Największe piekło cierpień dzisiejszego człowieka wynika ze współżycia r ó ż n y c h ludzi z sobą. 3. O jednej s z c z ę ś l i w o ś c i wszystkich uiema mowy. Możliwa tylko jest jednaka szczęśliwość ludzi na tym samym stopniu umysłowego rozwoju będących. 4. Drogę ku szczęśliwości wskazuje sama natura, pchająca ludzi podobnych ku sobie (przyjaciele)".

Wychodząc z tych „podstaw“, dociera do przeświadczenia o przyrodzonej nierówności w stosunkach międzyludzkich, oryginalną koncepcją swoistego elitaryzmu duchowego harmonijnie się tłumaczącej. I w tej teorii znajduje pociechę dla swego demokratycznego sumienia, trapionego nietylko nędzą bliźnich, nietylko ich ciemnotą, ale i „złem, idącem ze współżycia różnych ludzi z sobą".

Koroną jakby, luksusem tej teorii jest ustęp, traktujący o „skupieniach na podstawie podobieństw umysłowych, o grupach, w których członkowie wszyscy są na tym samym stopniu rozwoju umysłowego". Mowa tutaj o „z a k o n a c h artystów“, wyodrębniających się, — przynajmniej w teorii, w pisanem *confiteor*—od t ł u m u, o „u c z u c i u p o k r e w i e ń s t w a między artystami".

Należy podkreślić współczesność Orkana-artysty, doskonale wczuwającego się w ducha ostatnich lat dziesiątków, okresu, w ktorym, jak wiadomo, idea zrzeszania się, korporacjonizm poetów i plastyków jak nigdy przedtem stały się popularne.

Arcyciekawy tomik „pism Orkana“ opatrzył prof. Pigoń zwięzłą „notatką bibliograficzną" i znakomitem syntetycznem „posłowiem“, jasno tłumaczącem treść i genezę pism wiejskiego, najwyraźniej bliskiego duchowo komentatorowi, poety.

ST. J.

## „NA DROGACH KU WOLNEJ POLSCE"

ZNANY działacz narodowy p. Jan Szczepkowski wziął sobie do serca wezwanie nieżyjącego już niestety, Stanisława Szpotańskiego, zachęcającego do nawiązania nici duchowych między pokoleniom obecnem a dawniejszem.

W myśl wskazań Szpotańskiego sięgnął p. Szczepkowski do wspomnień własnej przeszłości, która mu przeszła w służbie pracy narodowej, i napisał ładną książeczkę p. t. „Na drogach ku wolnej Polsce". (Skład gł.: księg. Alfons Prabucki i Aleksander Płocha, Warszawa 1937, str. 115).

P. Szczepkowski był, jak sam pisze, „prostym żołnierzem" w stronnictwie demokratyczno-narodowem od r. 1902. Aczkolwiek był on tylko prosty żołnierz, jednak ten żołnierz był niesłychanie czynny, pracowity, dzielny i odważny, podejmując się wielu niebezpiecznych robót konspiracyjnych. Nielegalna praca oświatowa, a głównie przewożenie bibuły z Krakowa do Królestwa w okresie przed wojną światową, to było główne pole działalności p. Szczepkowskiego. Jego barwnie opisane wspomnienia dotyczą przeważnie różnych perypetyj, jakie się zdarzały kolporterom nielegalnych druków w okresie rządów zaborczych. Książeczka jego, przypominająca technikę konspiracyjnego kolportażu, o czem dotychczas pisali przeważnie socjaliści w swych wspomnieniach, stanowi pożyteczny przyczynek do dziejów ruchu

wolnościowego, a przedewszystkiem wspomnienia autora nabierają dużej wagi przez to, że p. Szczepkowski ujawnia wiele nazwisk ówczesnych działaczy, pracujących w warunkach konspiracji, a więc siłą rzeczy zacierających swe nazwiska i ślady.

Autor przytacza przeszło dwieście nazwisk, a wśród nich wiele nazwisk takich osób, o których niepodejrzewaliśmy, że pozostawali w jakiejś bliższej styczności z ruchem narodowym.

Przypomniał także autor działalność zapomnianego, a niezwykłego przecież działacza, mianowicie ks. Fryderyka Józefata Żyskara. Był on synem generała rosyjskiego z pochodzenia Francuza (Giscard) i matki Niemki protestantki. Urodził się w r. 1868 w Petersburgu. Młody Żyskar, doznał jakiegoś dziwnego tajemniczego przeobrażenia. W korpusie kadetów dowiedział się, że jest katolikiem. Po skończeniu korpusu wstąpił do seminarium duchownego w Petersburgu, został kapłanem katolickim i najszczerszym z ducha... patriotą polskim. Zakłada tajne przytułki i szkoły, prowadzi dokarmianie dzieci polskich, na co środki zdobywa na drodze kwesty nielegalnej. Wychowuje dzieci unickie, buduje ze składek kościół w Dorpacie. Przebrany za chłopa, przemierza drogi Białorusi, Żmudzi, Inflant. Wyszukuje unitów — chrzci, daje śluby, spowiada, odprawia po lasach nabożeństwa, kolportuje przemycone z Galicji książki do nabożeństwa i patriotyczną lekturę. W Rzymie założył seminarium misjonarskie dla Rusinów z Małopolski wschodniej. A ponieważ dosyć często odsiaduje więzienie za działalność narodową albo jest na zesłaniu, więc podziwiać trzeba jego niezmordowaną energię, bo wszystkie te prace wykonywa w chwilach wolnych od.. więzienia. Pisuje nadto artykuły, wydaje poważne dzieło p. t. „Nasze kościoły" (w zeszytach), przerwane wskutek wojny; w czasie wojny światowej inicjuje rejestrowanie dzwonów kościelnych na terenie całej Rosji. Objechawszy nietylko stacje, ale małe nawet stacyjki, zwiedziwszy nieprzeliczoną moc magazynów kolejowych zinwentaryzował do 1917 r. przeszło pięć tysięcy dzwonów, zdobywając ich fotografie i dokumenty urzędowe.

Dzięki tej niestrudzonej pracy ks. Żyskara, Włodzimierz Dybczyński, z którym się zaprzyjaźnił w r. 1917, uzyskał dla Polski, przy zawarciu traktatu ryskiego, zwrot przeszło dziesięciu tysięcy dzwonów, wywiezionych od nas przez Rosjan i zdawało się już, że straconych bezpowrotnie. Ks. Żyskar zmarł na tyfus w r. 1919 w Moskwie i tamże pochowany na cmentarzu katolickim.

Interesująco żywo pisane wspomnienia p. Jana Szczepkowskiego wydobywają z zapomnienia nazwisko niejednego działacza na niwie społecznej bądź narodowej. Szkoda tylko, że wiele z tych nazwisk osób przytaczanych, wymieniane i zestawiane jest bez odpowiedniej segregacji i stopniowania. Czytają się te wspomnienia z przyjemnością, tembardziej że pisane prosto, bezpretensjonalnie.

W. T.

## MOWY KONSTYTUCYJNE

ZNAKOMITY prawnik i polityk, prof. Uniwersytetu Poznańskiego, Bohdan Winiarski wydał w książce mowy, które jako poseł sejmowy, wygłosił z racji reformy konstytucji. Tytuł broszury: „Mowy Konstytucyjne" (Poznań 1937. Str. 100). Mów tych jest pięć, wydane zaś zostały według stenogramów. Wygłaszane zawsze z pamięci, często improwizowane, dzięki niepospolitemu talentowi krasomówczemu i głębokiej treści, wywierały niezatarte wrażenie.

Sam autor w przedmowie tak motywuje potrzebę ich wydania:

Są one przedewszystkiem dokumentem do historji okresu, w którym grupa rządząca, doszedłszy do władzy przez zamach majowy 1926 r., usiłowała wszelkiemi sposobami, pomijając względy interesu narodowego, gospodarcze, prawne i moralne, umocnić się na tych stanowiskach. Jednym z odcinków tej walki była sprawa zmiany ustoju, prowadzona zygzakami przez dziewięć lat, wreszcie wobec zbliżającego się końca Józefa Piłsudskiego sforsowana w r. 1935.

Mowy te stanowią dokument jeszcze w innym kierunku. Pierwszy Sejm zwyczajny (1922 — 1927) przyczynił się walnie do powodzenia zamachu majowego przez poczciwą prostoduszność, brak przewidywania albo zbytnią wiarę w prawość natury polskiej u jednych, pogrążenie się w kombinacjach parlamentarnych na sposób austrjacko galicyjski u drugich, przez otwarty i namiętny — jakże ciężko potem opłacony!—udział trzecich. Po zwycięstwie przewrotu Sejm ten, który ulegle słuchał pogróżek o łamaniu kości i trzaskania bata nad głowami, już był niezdolny do niezależnego pełnienia swych czynności, miał przetrącony kręgosłup. Dopiero po wyborach 1928 r. głos nielicznego wówczas Klubu Narodowego, o składzie znacznie zmienionym, głos donośny a odważny, wytykający błędy, piętnujący fałsze i nadużycia, zawsze wskazujący drogi naprawy, dopiero ten głos sprawił, że podniosły się w Polsce głowy, prosto spojrzały oczy, nigdy nie zawodzący żywioł narodowy zabrał się do pracy od podstaw, której dziś oglądamy wyniki. Mowy konstytucyjne należały do tych, które zwracały się wprost do społeczeństwa, aby uświadamiać, podnosić na duchu, zagrzewać do walki, i to swoje zadanie spełniły.

Mowy te pozwalają zrozumieć pochodzenie, charakter i cel postanowień konstytucji kwietniowej 1935 r. dokładniej, aniżeli to byłoby możliwe na podstawie przedstawień i komentarzy referentów, mówców i pisarzy urzędowych.

Wreszcie nie bez znaczenia będzie okoliczność, że znalazła w nich wyraz określona postawa zasadnicza, moralna, prawna i polityczna, która odbije się na naprawie ustroju przeprowadzonej przez obóz narodowy, niezależnie od tego jak ten ustrój będzie ujęty w szczegółach, jakie rozwiązania techniczne poszczególnych zagadnień przyjmie Konstytucja narodowa.

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ciekawą opowieść napisali do spółki małżonkowie Maria i Antoni Bechczyc-Rudniccy. Tytuł jej „Dziw", a treścią życie Prasłowian. Podnietę do jej napisania dały słynne dziś na cały świat wykopaliska biskupińskie, odsłaniające nam sposób życia i mieszkania przodków dzisiejszej ludności polskiej.

Państwo Rudniccy interesowali się czynnie postępem prac wykopaliskowych, śledząc je na miejscu i pozostając w bezpośrednim kontakcie z pieczołowitym kierownikiem robót, znakomitym prehistorykiem, prof. Józefem Kostrzewskim; z obserwacji swych zdawali sprawę w pismach polskich i francuskich. Przedwczesna śmierć nie pozwoliła ś. p. Rudnickiemu dokonać zamierzonego większego dzieła literackiego; reszty trudu wzięła na siebie wdowa. Powieść o Słowianach w II wieku przed Chrystusem wkrótce się ukaże. „Dziw" zaś jest chronologią swej fabuły starszy od niej o pół tysiąca lat (VII w. przed Chr.), sięgając czasów kultury łużyckiej.

Opowieść płynie wartko, ma momenty zaciekawiające, nawet dramatyczne. Fantazja twórcza miała tu swoje prawa, ale autorzy często starali się trzymać ją na wodzy, dbając o ścisłe przestrzeganie faktów stwierdzonych przez naukę. Żeby cofnąć czytelnika w czasy najbardziej zamierzchłe, uczynili eksperyment śmiały, wprowadzając wyrazy i zwroty prasłowiańskie.

Przedmowa prof. Kostrzewskiego rekomenduje tę książkę ze strony naukowej oraz ideowej. Strona artystyczna również godna rekomendacji. Piękny krój czcionek, gustowne choć proste ilustracje i zdobniki wabią oko czytelnika. (J. B-r)

*

Marian Przybylski, „Sytuacja Hutnictwa Żelaznego w Polsce". Katowice, 1936.

Autor rozpoczyna swe studium słowami: „Hutnictwo żelazne jest przemysłem podstawowym, zarówno dla całości gospodarki narodowej jak i dla obrony Państwa", i że „na

podstawie charakterystyki wytwórczości hutniczej w Polsce i w innych państwach, bez zbytecznego trudu, będzie sobie można wyrobić zdanie, co u nas jest złego, i co należy zmienić".

Rzeczowymi, lapidarnymi słowami ukazuje stan i rozwój hutnictwa w Stanach Zjednoczonych, w Niemczech, Anglii, Francji i Sowietach. Wszędzie przejawia się rozwój hutnictwa dzięki obfitemu zaopatrzeniu w tworzywo na wewnątrz i eksport, pojemność rynku i rentowność, z tem, że rentowność ułatwia możność czynienia inwestycji, przebudowę i modernizowanie walcowni.

W przemyśle hutniczym na świecie, o ile chodzi o wytwórczość stali surowej, Polska znajduje się na dwunastem miejscu, a w produkcji surówki na miejscu piętnastem.

W sumie udziału kapitałów przypada na kapitał polski 77 prc. Rudy polskie zawierają mniejszą ilość żelaza, wobec czego koszt surówki jest u nas dwukrotnie wyższy, niż na Zachodzie. Rozwój tamowany jest także przez brak podaży, odległość hut od morza i rzek spławnych i szereg innych przyczyn.

Hutnictwo w Polsce jest na poziomie 62 prc. roku 1913, gdy tymczasem w Anglii wytwórczość hutnictwa wzrosła do 140 prc., w Niemczech do 156 prc., a w Rosji do 372 prc. wytwórczości przedwojennej.

Książkę ilustrują doskonałe wykresy.

Wymijająco, jednem zdaniem, wspomina autor o „świadczeniach socjalnych", na rzecz naszych słynnych Ubezpieczalni, nie nadmieniając, że Ubezpieczalniom i ich szczęśliwym dyrektorom dzieje się dobrze, a przemysłowi źle. (A. W.)

# ZE ŚWIATA SZTUKI

## WYSTAWA W PARYŻU

W MAJU, 1937 roku, zostanie otwarta w Paryżu wystawa pod nazwą: „Sztuka i technika w życiu współczesnem" (*Ars et Techniques dans la wie moderne)*. Wystawa jest międzynarodową, na olbrzymią skalę zakrojoną imprezą. Polska także weźmie w niej udział. Zobaczmyż jak też wyglądają nasze prace przygotowawcze do tej wystawy? W wrześniu komisarz działu polskiego, prof. L. Niemojewski, pisał w „Arkadach":

„Decyzja co do udziału Polski w wystawie paryskiej zapadła tak późno, że zanim wyznaczono komisarza i przekazano mu całokształt spraw organizacyjnych, okazało się niemożliwością ogłoszenie konkursu powszechnego (na projekt pawilonu polskiego, przyp. mój) jaki byłby j e d y n y m r a c j o n a l n y m s p o s o b e m (podkr. moje) szukania architekta, któremu możnaby tak zaszczytne, a jednocześnie trudne i odpowiedzialne zadanie powierzyć... Nadto komisariat nie posiadał dostatecznego materiału dla ogłoszenia konkursu powszechnego i skutkiem tego należało się liczyć z koniecznością porozumienia się w czasie pracy z architektami przygotowującymi projekty... Dla wymienionej przyczyny, musiałem się liczyć z koniecznością współpracy wyłącznie z architektami warszawskimi, gdyż, dając autorom projektów termin dwutygodniowy na ich wykonanie (jeden z nich miał nawet tylko 7 dni czasu) i licząc się z koniecznością jednej lub dwu konferencyj w międzyczasie, musiałem niestety z góry wyrzec się możności korzystania z współpracy licznych architektów przebywających poza Warszawą, a którzy niewątpliwie mogliby nadesłać projekty o wysokiej wartości".

Tyle komisarz wystawy. Zauważmy, że już u wstępu poczynań wyrzeczono się „jedynego racjonalnego sposobu" rozstrzygnięcia sprawy pawilonu. Dlaczego tak się stało? Nie szukajmy odpowiedzi na to pytanie u komisarza wystawy, któremu zapewne nie wypada krytykować swoich mocodawców. Odpowiedź znajdziemy gdzieindziej, W listopadowym zeszycie czasopisma „Plastyka" organie „Bloku zawodowych artystów plastyków" czytamy: „O udziale Polski w międzynarodowej wystawie paryskiej wiadomo od roku 1933-go. Ale my mamy czas. Skoro ostatni termin zgłaszania pawilonów upływa 15-go lipca 36 r., to polski Komitet Organizacyjny na miesiąc przed tym terminem, 15 czerwca, ogłasza dopiero konkurs na pawilon...

W rezultacie projekty są. Inna sprawa, że wszystko na nic. Bo otrzymaliśmy (w międzyczasie) inny teren, po Chili. Czyli rzecz całą trzeba robić na nowo. A że czasu tembardziej teraz mniej, powierzono ostateczne opracowanie projektu 2-m z pierwotnie zaproszonej siódemki: arch. Brzękalskiemu i arch. Pniewskiemu, ponieważ — jak powiada komisarz wystawy — „ci dwaj autorzy zdawali się w swych koncepcjach zbliżać najbardziej do tych planów organizacyjnych, jakie poczęły się zarysowywać w łonie komitetu"...

Pomijamy subtelność tego uzasadnienia, jak również ewentualną zgodność koncepcyj tych dwuch autorów z planami, które były jeszcze w łonie. Chodzi o co innego.

Chodzi mianowicie o to, jakie metody pracy artystycznej u nas się stosuje. Gdy na trzy lata przed imprezą wie się o niej i ma się wziąć w niej udział, nic się nie robi przez cały czas, dopiero w ostatniej chwili, domowym sposobem, na gwałt wykonywa się robotę na pokaz. Apeluje się do improwizatorskich zdolności Polaków. W głębokiem bowiem lekceważeniu i pogardzie pozostaje u nas codzienny, wytrwały trud, cierpliwa ciągłość pracy, która jedynie może zapewnić ustawiczną gotowość do wystąpień, gdy tego zajdzie potrzeba...

Jak z pawilonem, taksamo z wnętrzami. Dopiero 25 września ogłoszono konkursy na rozwiązanie wnętrz pawilonu i na gobeliny. Termin składania projektów na gobeliny: 5-ty listopada. Każdy z tych gobelinów ma mieć wielkość $2^1/_2 \times 9$ m, musi więc być tkany pół roku. Artyści zaś pracujący nad wnętrzami przez cały rok chodzili do rozmaitych czynników i pytali o informacje, i znikąd nie mogli ich otrzymać.

Komisarz działu polskiego na wystawie paryskiej został wyznaczony późno. Dlaczego? Bo decyzja wzięcia udziału w wystawie zapadła późno. A dlaczego późna decyzja? Czyżby tu jakieś konjukturalne względy wchodziły w rachubę?.. Zresztą, poco decydować trzy lata naprzód o takiej błahostce, jak udział w wystawie międzynarodowej? Jeżeli Francuzom, Niemcom, Anglikom, potrzeba trzy lata czasu, to nam — gdy się już wreszcie w ostatniej chwili zdecydujemy — wystarczą dwa tygodnie. Powie się temu a temu — i musi zrobić. I zrobić dobrze. Nie może bowiem kompromitować kraju, narodu, państwa. No, i ten a ten zrobi"...

Poglądy powyższe nie są bynajmniej opinią tylko autora tych słów. Podpisała się pod nimi redakcja „Plastyki", są one bowiem wyrazem przekonań nurtujących znaczną część sfer artystycznych i zostały sformułowane nie pod wpływem jakiegoś impulsywnego odruchu, a po długiej i głębokiej rozwadze.

W odpowiedzi na tak ważne zarzuty, pod adresem organizacji wystawy, komisarz naszego

działu, prof. L. Niemojewski, uznał za stosowne wystąpić w Klubie Bloku z odczytem na temat wystawy. Na treść odczytu złożyły się informacje, oraz wyjaśnienia co do dalszego biegu pracy nad zorganizowaniem działu polskiego, a przedewszystkiem odpowiedzi na liczne, wyżej już przytoczone zarzuty. Prof. Niemojewski wynalazł sobie znakomitą broń i obezwładniał dysputujących i pragnących dysputowac powiedzeniem: „macie najzupełniejszą rację, moi kochani, ja się z wami zgadzam, ale co miałem robić, kiedy nie mam innego wyjścia, t. j. czasu na inne, lepsze rozwiązanie sprawy". Ha, skoro mamy rację, to rzeczywiście, co tu dużo gadać. Ale wobec tej racji trzeba się zastanowić, czy wogóle nie należało, w takich warunkach, z organizowania naszego działu zrezygnować. Sfery rządowe znają dobrze ofiarność artystów i są już poniekąd tą ofiarnością zdemoralizowane. Powiadają: zawsze twierdzicie, że w takim terminie niepodobna jest wywiązać się solidnie z zadania, a w końcu podejmujecie się jednak pracy i rezultat ostateczny jest dobry. Nieraz rzeczywiście tak było, ale jeżeli artysta w poczuciu swych obowiązków obywatelskich, zrezygnuje raz, drugi, ze zdrowych warunków pracy artystycznej, to nie dowód jeszcze, aby ten wyjątkowy wypadek uznać za normalny i obowiązujący nadal sposób postępowania. Sprzeciwia się to poczuciu rzetelności artystycznej i na normalny rozwój sztuki wcale dobrze nie wpływa. Nieraz do artysty zwraca się prywatny klijent z zamówieniem i żąda wykonania rzeczy w terminie absurdalnym. Wówczas artysta — jeśli jest uczciwy — powiada: moje sumienie artystyczne nie pozwala mi partolić, a w tak krótkim czasie nie mogę wykonać powierzonej mi przez pana pracy tak, jakbym tego pragnął. Idź pan gdzieindziej próbować szczęścia.

Czy moralnośc artystyczna, która obowiązuje w tych stosunkowo drobnych wypadkach, przestaje obowiązywać, gdy chodzi o reprezentację Polski na terenie miedzynarodowym? Przypuśćmy nawet, że wystawa się uda i dział nasz zyska uznanie. Czy to będzie dowodem, iż można nadal przygotowywać się do wystaw międzynarodowych w podobnem tempie? Nie, gdyż praca, która daje znośne wyniki w warunkach anormalnych, dałaby znacznie lepsze w warunkach dla niej odpowiednich. A w tych wypadkach, jeśli chodzi o reprezentacją narodu nazewnątrz, nie wolno nam lekceważyć, żadnej możliwości. Czyż mogą być bowiem, w zakresie sztuki, wyniki za dobre? Drogą konkursów, oraz stopniowych eliminacyj, bada się, a także i podnosi skalę twórczą społeczeństwa artystów. Ale profesor Niemojewski powiedział, że jemu wcale nie chodzi o wyłowienie tych najlepszych. „Czas" — powiada — „skończyć z rekordami. Francuzom wcale nie chodzi o pokazanie rekordzistów. Ja zadowolę się średnią przeciętną". Święta racja, jeśli chodzi o słowa. Lecz tak mówiąc, prof. Niemojewski, postępuje jednocześnie zupełnie inaczej. Nie pragnie, aby wystawę reprezentowała najbardziej charakterystyczna jednostka: przedstawiciel masy artystycznej, w swym najbardziej typowym, średnim poziomie, ale stosuje metodę wybrańców, t. zn. wybiera tych, których bądźcobądź uważa za najlepszych, innemi słowy wszystko się sprowadza do systemu drugorzędnych rekordzistów. Wiadomo, że kulturę narodu mierzy się w dół, a nie w górę. Między jakimś rumuńskim księciem Bibesco, a niemieckim Prinz von.. różnica może być niewielka, ale między niemieckim, a rumuńskim chłopem — olbrzymia i to właśnie świadczy o przewadze kulturalnej Niemców. Można mieć kilku znakomitych artystów, a wcale nie posiadać dobrej sztuki. Sztukę narodu tworzą nietylko wielkie jednostki, lecz przedewszystkiem kulturalny ogół artystyczny. Przeciętna jego poziomu najwierniej świadczy o kulturze narodu.

Aby można było taki nasz poziom (nie rekordzistów) cudzoziemcom pokazać, należało inaczej do organizowania polskiego działu przystępować. Bo właśnie taka wystawa dawała jeszcze jedną okazję do wyzyskania możliwości kulturalno-wychowawczych, zarówno w stosunku do społeczeństwa, jak i do najszerszego ogółu artystów. Zamiast załatwiać wszystko pocichu między sobą, należało jeszcze przed trzema laty przystąpić do propagandy wystawy i zapomocą odczytów, konkursów, pokazów i wystaw przygotowawczych, zwiedzanych przez wszystkich, wciągnąć w orbitę zainteresowań wystawą paryską najliczniejsze rzesze twórców i konsumentów sztuki. A wówczas, w tak wzmożonem zainteresowaniu, współzawodnictwie, a może i zapale powstałaby niejedna wartość na glebie dotychczas dla sztuki nieużytej.

WIKTOR PODOSKI

## NOWE KSIĄŻKI

Wasiutyński Wojciech. Z duchem czasu. Warsz 1936. „Prosto z mostu". Str. 280.

Kossak Zofia. Lignickie pole. Warsz. 1937. „Rój".

Gojawiczyńska Pola. Rajska jabłoń. Powieść. Warsz. 1937. „Rój".

Straszewicz Czesław. Gromy z jasnego nieba. Warsz. 1936. „Prosto z mostu".

Fiedler Arkady. Kanada pachnąca żywicą. Warsz. 1937. „Rój".

Bojanowski Bartłomiej. O naprawę stosunków gospodarczych w Polsce. (Ciechanów 1937). Nakładem autora. Str. 84.

Niepodległość. T. XV, zesz. 1 (39).

Morcinek Gustaw. Inżynier Szerud. Powieść. Warsz. 1937, „Rój".

Strachey Litton. Królowa Elżbieta i hrabia Essex. Historia tragiczna. Warsz. 1937. „Rój".

Szermentowski Eugeniusz. Karjerowicz. Powieść. Warsz. 1937. Michalak i S-ka.

Szermentowski Eug. Historia jednej blagi. Powieść. 1937. Michalak i S-ka.

Szukiewicz Maciej. Rymy i rytmy. Z autografem i portretem autora, z przedmową K. L. Kamińskiego. Kraków 1936. Księg. Fryd. Eberta.

Górski Konrad. Stanisław Krzemiński. Człowiek i pisarz. Wilno 1936. Tow. przyjaciół nauk. Str. VIII i 323.

Głąbiński Stanisław. Sprawa Ruska na Ziemi Czerwieńskiej. Warsz. 1937. Str. 64.

Winiarski Bohdan. Mowy konstytucyjne. Poznań 1937. Str. 100.

Świętosławski Wojciech. W zbiorowej pracy nad rozwojem kultury. Warsz. 1936. Kasa im. Mianowskiego. S. 75

Zbaraski Zygmunt. Geneza masonerii. Warsz. 1937 Księg. Prabucki i Płocha, Miodowa 1. Str. 24.

Prąd, miesięcznik. Lublin 1937, nr. 1.

Nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu ukazały się nowości:

Rachmanowa Alia. Fabryka nowych ludzi. Powieść.

Strzembosz Jan. Pożyczka zagraniczna. Powieść.

Von le Fort Gertruda. Papież z Ghetta. Powieść.

Kossak Zofia. Bursztyny. Nowele.

Surynowa Wyczółkowska J. Jego kobiety. Powieść.

Giertych Jędrzej. My, nowe pokolenie. Wyd. II.

MIESZCZUCHY I ŻYDY O CHŁOPACH. Wierni marksistowskim kanonom ortodoksi teorii materializmu dziejowego, czyli poprostu grupa literacka „Przedmieście" rzuciła nowy tom na rynek księgarski. Mianowicie Władysław Kowalski napisał książkę p. t. „W Grzmiącej". E. Breiter w „Wiadomościach Literackich" z właściwą sobie rozlewnością tak oto przedstawia ton „dzieła":

„Poczucie klasowości chłopskiej jest najbardziej istotnym rysem młodego powieściopisarza. Mniej interesują Kowalskiego zagadnienia artystyczne i kompozycyjne, sprawy perspektywy powieściowej i anegdotycznej. We wszystkich obrazach przewija się jedna teza i jedna myśl: *„écrasez l'infâme"*. Infamisem, którego trzeba zniszczyć, usunąć z powierzchni ziemi, wypalić siarką i ogniem to dwór, panowie, polska szlachta i ziemiaństwo.

„Analogiczne akcenty dochodzą do nas w powieściach Wasilewskiej, Kurka, Leona Kruczkowskiego i innych; za ostrym radykalizmem tych pisarzy— kryje się jednak głęboki patos etyczny w stylu Żeromskiego. U Kowalskiego brak jest wszelkiego patosu. Autor, jak prosty chłop, nie chce wiedzieć co to naród, tradycja, wspólna idea, przyszłość i ofiara. Te imponderabilia nie posiadają w jego oczach żadnego ciężaru gatunkowego, bo nie dają się ani zmierzyć, ani zważyć i nie można ich zamienić na doraźne wartości materialne. Zagadnienie chłopa stawia Kowalski na płaszczyźnie wyłącznie biologicznej. Jest ono dla niego kwestią bytu i poprostu nagiego życia".

„Przez całe lata wmawiano w nas, że dla chłopa ziemia jest wszystkiem, że dla zdobycia lub powiększenia gruntu chłop gotów jest ponieść największe ofiary. A tymczasem Kowalski twierdzi, że walka o ziemię jest wyłączną formą walki o byt, i że myli się ten, kto sądzi, iż za tą walką kryje się jakaś religijna lub narodowa metafizyka.

„Chłopa nie stać na nic innego jak na najgrubszy i najpierwotniejszy materializm życiowy".

Tak oto tłumaczy mieszczuch z przedmieścia ludziom z miasta, co to takiego chłop. Aczkolwiek autor recenzji, E. Breiter jest sympatiami wyraźnie po stronie Kowalskiego, jednak i on zastrzega się, że „Grzmiąca" jest generalizowaniem wyjątków. To już, jak pan widzi, panie Kowalski, nie epatuje nawet burżujów i żydów, dla których pan pisze.

## W ROZMÓWNICY

### „ICH DIEN"

Otrzymaliśmy list następujący:

Szanowna Redakcjo! W „Myśli Narodowej" nr. 1 z d. 3 stycznia 1937 r. pojawił się artykuł p. t. *„Ich dien"*, w którym autor zarzuca Katolickiemu Zwiazkowi Młodzieży Żeńskiej ideową łączność z masońskimi rotarzystami na podstawie hasła naszej organizacji: „Sprawie służ!".

W łączności z tym artykułem pozwalamy sobie podać następujące wyjaśnienie:

Hasło „Sprawie służ—służyć chcę" było hasłem czwartaków w r. 1831. Przejęliśmy je jako symbol wyrażający gotowość służenia Bogu i Ojczyźnie, a łączący naszą pracę społeczną z ofiarami powstańców. Hasła tego używamy od początku naszej organizacji t. zn. od r. 1919. Nikt nam dotąd z tego powodu nie zrobił najmniejszego zarzutu, owszem spotykaliśmy się z uznaniem, że przez to hasło nawiązaliśmy do tradycji narodowej z okresu największych ofiar, złożonych na ołtarzu Ojczyzny.

Znaczenie zarzutów, stawianych naszej organizacji, powiększa jeszcze ta okoliczność, że autor wzywa władze duchowne, by „przeprowadziły skrupulatne śledztwo, skąd w tak ważnej organizacji katolickiej wzięła się masońska symbolika". Słowa te czytelnik musi uważać za próbę denuncjacji. Równocześnie jednak autor, nie odczekawszy wyników tego „śledztwa", stwierdza kategorycznie „fakt występowania różokrzyżowców w dewizie Katolickiego Związku Młodzieży Żeńskiej".

To też wyrażamy głęboki żal, że podobne oskarżenie mogło się znaleźć na łamach pisma Sz. Redakcji. Jesteśmy przekonani, że W.Panowie po tem wyjaśnieniu umieszczą w najbliższym numerze odpowiednie sprostowanie. W przeciwnym razie zastrzegamy sobie prawo poczynienia dalszych kroków w tej sprawie.

Poznań, 5.II.1937.

Z poważaniem
Za Katolicki Związek Młodzieży Żeńskiej
Ks. Z. Biłko
Dyrektor.

Autor artykułu *„Ich dien"* stwierdza, że w swoim artykule nie zarzucał „Katolickiemu Związkowi Młodzieży Żeńskiej" ideowej łączności z masońskimi rotarzystami na podstawie hasła tej organizacji „Sprawie służ". Autor zwracał tylko „uwagę na niektóre analogie i zbieżności (w druku na skutek pomyłki w składaniu wyszło „rozbieżności" co niniejszem autor prostuje) dewiz i haseł współczesnych". Na końcu swego artykułu autor wyraźnie się zastrzegł, że „Organizacje, o których tu mowa, mogły całkiem nie mieć żadnego kontaktu z masonerią. Mógł tu działać prosty przypadek np. bezkrytyczne i nieświadome naśladownictwo".

W danym też wypadku istotnie mamy, jak tego dowodzi enuncjacja ks. dyrektora Biłki, do czynienia z naśladownictwem hasła używanego przez czwarty pułk piechoty w r. 1831. Naśladownictwo miało na celu względy patriotyczno-wychowawcze.

Fakty jednakże nagromadzone w artykule *„Ich dien"* wskazują niedwuznacznie na to, że dewiza „służyć" jest dewizą masońską, powtarzającą się od XIV stulecia. Zachodzi zatem pytanie, czy i u czwartaków nie należy tego hasła wiązać z wpływami masońskiemi? Możliwości takich powiązań są wcale duże. Oto czwarty pułk piechoty, jak tego dowodzą badania S. Askenazego („Łukasiński", Warszawa 1929, t. I, str. 292—293) był bazą i ostoją Wolnomularstwa Narodowego, kierowanego przez W. Łukasińskiego. Wpływy Wolnomularstwa Narodowego były tak w czwartym pułku silne, że w głównej loży tego odłamu masonerii było na trzydziestu trzech członków loży trzynastu czwartaków. Askenazy podkreśla, że była to loża wysokiego stopnia ze względu na ową liczbę trzydziestu trzech. Jeżeli tedy w czwartym pułku było tak dużo wysokich dygnitarzy wolnomularskich, to mogli oni swoje hasło wprowadzić w r. 1831. Zapewne bowiem w tym właśnie pułku Wolnomularstwo Narodowe ostało się po katastrofie Łukasińskiego.

Sprawą hasła czwartaków, na którą bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności zwrócił uwagę ks. Dyrektor Biłko, powinni się, mojem zdaniem, zająć nasi badacze związków tajnych bliżej. Gdyby się bowiem potwierdziła hipoteza masońskiej genezy tego hasła, to byłby to kapitalny dowód na tezę międzynarodowych kontaktów i zależności wolnomularstwa narodowego. Tezę tę, jak wiadomo wysunął swego czasu J. Giertych. A z nią łączy się sprawa odpowiedzialności za katastrofę powstania listopadowego.

Nakoniec jeszcze słowo w sprawie „próby denuncjacji", którą Przewielebny Oponent autora artykułu *„Ich dien"* artykułowi temu stara się imputować. O denuncjacji tu niema mowy, gdyż autor artykułu nic nie wiedział o tem, kto był autorem hasła wewnątrz Związku i do dzisiaj tego nie wie. Chciał natomiast zwrócić uwagę sferom duchownym na możliwość masońskiej genezy omawianego hasła i związanych z niem ewentualności. Dziś w okresie wzmożonego ataku masonerii na kościół takie zwrócenie uwagi uważał autor za swój obowiązek.

Jeszcze raz na końcu należy stwierdzić, że K. Z. M. Ż. niema, jak to wynika z oświadczenia ks. dyrektora Biłki, żadnej łączności z masonerią, chociaż tak się złożyło, że jego hasłem jest hasło, które może mieć genezę masońską. Dla tego też hasło to należy, mimo wszystko, zmienić.

X. J.

## NA MARGINESIE

— A więc byczo jest?
— Tak. Ale nie trzeba się tem martwić. Będzie lepiej.

(„Szarża")

*

Na sojusz lewicy sanacyjnej z *fołks*-frontem:

By dogodzić tej przezacnej spółce,
powinna Polska chodzić w fartuszku
na sowieckim łańcuszku
i... w jarmułce.

(„Szarża")

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM